

33198

198

131.

1533^a

20381

Dz.

92

Hodz.

Pa.n.

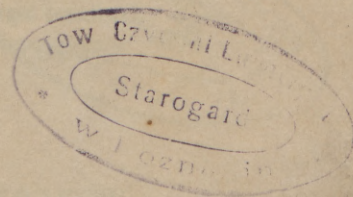
Tom I

472

~~1533^a~~

~~20381~~

~~92~~



CZYTELNIA POLSKA

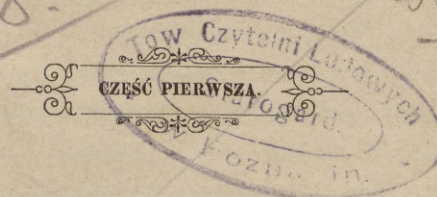
❖ TOM III. ❖

IGNACY CHODŹKO.

PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

Dr. PIOTR CHMIEŁOWSKI.



KRAKÓW.

STARANIEM S. SZCZEPANOWSKIEGO i A. POTOCKIEGO.

1898.



syg. 7267/1

Dz. N.

7267

884-3

IGNACY CHODŹKO.

Autor »Pamiętników Kwestarza« pochodził z rodziny, która w początkach XIX wieku wydała kilku uzdolnionych pisarzy. Najstarszym w tym szeregu, jakby patriarchą, był Jan Chodźko, zwany »Panem Janem ze Świsłoczy« z powodu książki dla ludu pod tym napisem wydanej. Następnie znany jest przyjaciel Mickiewicza, poeta i orientalista, Aleksander, co przez lat wiele wykładał w kolegium francuskiem w Paryżu literatury słowiańskiej. We Francji również pracował bardzo ruchliwy publicysta i historyk, Leonard Chodźko, zaznajamiający cudzoziemców z naszą literaturą i naszemi dziejami. Prócz tego dali się jeszcze poznać: Dominik, Józef, Michał, Stanisław na różnych polach działalności naukowo-literackiej, pierwszy jako biograf i wydawca, drugi jako inżynier wojskowy, trzeci jako publicysta i tłumacz poetów francuskich i angielskich, czwarty jako chemik.

Najpopularniejszym atoli z całej tej rodziny, blisko ze sobą spokrewnionej, stał się Ignacy Chodźko, ponieważ utwory jego powieściowe potrafiły sobie pozyskać największą liczbę czytelników, a nawet przez czas długi zaliczane były do prawdziwych arcydzieł literatury naszej. A chociaż dzisiaj nie można im już przyznać tak zaszczytnego tytułu, cenić je wszakże musimy jako rzetelnie i z wielkim talentem plastycznym odtworzone obrazy powszednich zwyczajów, obyczajów, krajobrazów litewskich z końca XVIII i początków naszego stulecia.

Ignacy Chodźko był synowcem pana Jana ze Świsłoczy, a synem Antoniego i Katarzyny z Widmontów. Urodził się r. 1794 w Zabłoczyźnie (powiecie wilejskim), dziedzicznym majątku swego dziada po matce, którego tak ładnie potem opisał w »Domku mojego dziadka«. Wychowywał się zaś w Dziewiętniach, przy dziadku po ojcu, Michale, wojskim oszmiańskim, pod wpływem ducha religijnego i rodzinnego; opowiadania dziadunia o świetnym dworze Radziwiłła Panie-kochanku w Nieświeżu wywierały silne wrażenie na wyobraźnię dziecka. W dziesiątym roku życia oddany został do szkoły w Borunach (pow. oszmiańskim), utrzymywanej przez ks. Bazylianów, a tak serdecznie przedstawionej potem przez Chodźkę w obrazku p. t. »Boruny«. Ukończywszy ją, wszedł w r. 1810 do uniwersytetu wileńskiego, kiedy rektorem był Jan Śnia-decki, a poezję i wymowę wykładał Euzebiusz Słowacki; otrzymał tu stopień kandydata sztuk i nauk wyzwolonych.

Po śmierci rodziców r. 1814, dwudziestoletni młody człowiek przeszedł pod opiekę stryja Jana, z którym odbył w r. 1815 podróż do Warszawy, gdzie się z wielu literatami i wolnomularzami zapoznał. Potem pracował w kancelaryi Radziwiłłowskiej, został członkiem satyrycznego »Towarzystwa Szubrawców« pod imieniem Wirszajtos, członkiem łoży wolnomularskiej w Wilnie i Mińsku. Następnie osiadł w wiosce rodzinnej Dziewiętniach i pisywał ody, anakreontyki, epigramata w duchu klasycznym.

Z Antonim Edwardem Odyńcem i Julianem Korsakiem, lubo młodszymi od siebie, związał się ścisłą przyjaźnią, ale ich upodobań romantycznych z początku zgolić nie podzielał. Umysł jego naówczas był skłonny do satyry, przygotowywał więc Chodźko artykuły do »Wiadomości brukowych«, organu »Tow. Szubrawców«. Niektóre z nich p. n. »Próby nowego dykcjonarza« ogłosił drukiem dopiero pod koniec życia r. 1860. Ślad sporów, staczanych przez Chodźkę ze zwolennikami romantyzmu, pozostał w »Dzienniku wileńskim« z r. 1824, gdzie się mieści list poetyczny Chodźki do Odyńca, doradzający temuż kończenie rozpoczętego przekładu Rasyna. Do narzeczonej Chodźki, Ludwiki Mackiewiczówny, odnosi się wiersz Mickiewicza z r. 1824: »Nieznajomej dalekiej — nieznany, daleki«.

W życiu ówczesnem obywatelskiem Chodźko czynny brał udział. Najprzód był deputatem wywodowym gubernii wileńskiej, potem przez trzy lata prezesem sądu

grodzkiego powiatu zawilejskiego, następnie podkomorzym tegoż powiatu i prócz tego prezydował na wielu eksdewizjach, będąc duszą zebrania, czy to za stołem sądowym, czy w chwilach wypoczynku. Przez lat 18 sprawował urząd kuratora honorowego szkoły powiatowej święciańskiej.

Zaniechawszy rymów, wziął się Chodźko do prozy. Pierwsza jego próba powieściowa p. t. »Poddany«, drukowana w noworoczniku, wydanym przez Odyńca w Warszawie p. t. Melitele (na r. 1829), odbija pojęcia i poglądy wieku XVIII, dążność do zrównania stanów i filantropią; pod względem stylu i artyzmu przypomina powiastki Ignacego Krasickiego. Mickiewicz, przeczytawszy »Poddanego«, pochwalił go, wróżąc podobno autorowi świetną przyszłość w piśmiennictwie. Zachęciło to Chodźkę do dalszej pracy, ale owoce jej nierychło ukazały się w druku. Upłynęło lat 8, zanim nową, tym razem żartobliwą powiastkę p. t. »Samowar« ogłosił w noworoczniku Biruta na r. 1837. Powiastka ta podobała się, przedrukowało ją zaraz Muzeum Domowe, wydawane przez Dmochowskiego w Warszawie. Ale i w tej powiastce niema jeszcze śladu wpływów nowego kierunku poezyi; i ta powiastka całkiem się jeszcze pod względem sposobu opowiadania zaliczyć może do wytworów końca XVIII wieku.

Długiego było potrzeba czasu, ażeby autor, przeszedłszy czterdziestkę, zaczął rzewnem okiem rozpamiętywać niedawno ubiegłą przeszłość, przypominać sobie

podania słyszane w dzieciństwie, rozmiłowywać się w widzianych krajobrazach, dostrzegać w ludziach strony miłe, sympatyczne, grać na strunie uczuciowej. Wtedy już wiek XVIII ze swoją filozofią »z piekła rodem« i krytyką wydał mu się »bezbożnym niedowiarkiem, starcem, skonałym w zgryzotach i obłąkaniu, który oniemił ziemię dla Boga«. Wtedy postaci staro-szlacheckie przedstawiły mu się w świetle idealnem, gdyż lubo ujemnych w nich stron nie zaprzeczał, taką otaczał ich serdecznością, tyle w nich dopatrywał mądrości prawdziwej, bo opartej na religii, tyle im przypisywał uczuć ofiarności i poświęcenia, że niepodobna ich było nie ukochać, kiedy się na nie przez jego pryzmat patrzyło.

Taki nastrój, takie przekonania i poglądy znajdujemy w kilku zarysach, objętych pierwszym tomem »Obrazów litewskich«, wydanych w Wilnie r. 1840; należą tu mianowicie: »Domek mojego dziadka«, »Śmierć mojego dziadka« i »Boruny«. Ukazały się one w czasie, »kiedy, jak powiada znakomity stylista i esteta, Julian Klaczko, mogiły z 1831 roku pozapadały się w ziemię, kiedy zapal i rozpacz przestały wstrząsać uczucia widokiem świeżej krwi męczeńskiej«, kiedy społeczeństwo, zwłaszcza na Litwie i Rusi, spragnione spokoju i dobrobytu, zaczęło się przyzwyczajać do istniejącego porządku rzeczy, roniąc tylko łzy niemejskie nad minioną chwałą, lub też przypominając sobie wesołe anegdoty o hulaszczych i krewkich przodkach. W literaturze naszej na Litwie i Rusi

stronnictwo zachowawcze, zabarwione silnie szlachecką i pobożnością zewnętrzną, brało górę nad niezbyt liczną garstką młodych postępców, pragnących swobody słowa i wyzwolenia ludności wiejskiej z poddaństwa. Tacy pisarze, jak Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Ignacy Hołowiński, Józef Emanuel Przecławski i Ludwik Szyrmer nadawali ton piśmiennictwu, a za pośrednictwem swego organu, ogłaszanego p. t. »Tygodnik Petersburski«, rozdawali stopnie godności literackie, piszącym orzekali, kto zdrowo i rozumnie myśli, a kto jest gorszy cięlem narodu.

Pod względem politycznym wyznawali oni zasadę ścisłej łączności Litwy z państwem rosyjskiem i publicznie, w druku, nie wahali się mówić, że ojczyzną ich jest Rosya. Zastrzegali jeno sobie prawo posługiwania się językiem polskim i wyznawania religii katolickiej.

Pod względem literackim cenili najwyżej utwory, poświęcone pamiątkom przeszłości, a Michał Grabowski wprost utrzymywał, że tylko przeszłość może dostarczyć wątku dla prawdziwego poety. Stąd poszło bezgraniczne uwielbienie dla »Pamiętek Imię Pana Seweryna Soplicy« (1839), napisanych przez Henryka Rzewuskiego, stąd mnóstwo poematów i powieści, opisujących z zapalem wieki minione pod względem potocznych drobiazgów życia, nie zawsze godnych uznania i pochwały.

Autor »Obrazów litewskich« nie był naśladowcą Rzewuskiego; poszedł on właściwym sobie torem, lecz po-

głądy jego i uczucia były zgodne w znacznej części z tem, co głosił autor »Listopada«; znalazł się więc w atmosferze literackiej zupełnie dla siebie odpowiedniej, a pisma jego harmonizowały wybornie pod względem nastraju z tem usposobieniem, jakie popierała i chwaliła koterya »Tygodnika Petersburskiego«.

Najwyraźniej to widać w ocenie stosunków poddańczych. Dawniej, jako wolnomularz, jako członek »Towarzystwa Szubrawców«, Chodźko patrzył z goryczą na »niewolę« chłopów i wyraził to dobitnie w opowiadaniu p. t. »Poddany«, gdzie chłop ukształcony, nauczyciel w szkołach, został poznany przez dziedzica i zmuszony do powrotu na wieś dla odrabiania pańszczyzny. Teraz, wystawianie ucisku chłopów wydawało się naszemu autorowi krzyczącą niesprawiedliwością względem szlachty. Zaczął on w dziejach stosunku panów do chłopów odróżniać trzy okresy. Pierwszy z nich, patryarchalny, odznaczał się miłością i łagodnością chrześcijańską ze strony rządzących, a przywiązaniem i ufnością ze strony rządzonych. »Urodzenie — powiada Chodźko — rozdzielało te dwie kasty głęboką przepaścią, ale tę przepaść zapełniała miłość chrześcijańska, za którą idąc przebywali ją panowie i z ojcowskim sercem wnosili do chat włościan swoich troskliwość, radę, pomoc wszelką i pociechę; przechodzili ją wzajemnie i włościanie, niosąc śmiało do dworu swoje potrzeby i troski, pewni opieki i wsparcia«. O ile z niewyraźnych napomknien wniesć

można, trwał ten stan patryarchalny aż do końca XVIII w. Nastąpiły potem w szybkim tempie dwa inne. Okres drugi nacechowany był obniżeniem moralności a wzrostem potrzeb materyalnych wskutek wkradającego się do domów szlacheckich zbytku. Zmuszało to »do jeszcze ściślejzego zajmowania się gospodarstwem i ciągnięcia zeń coraz większych dochodów«, co powodowało jeszcze większe wymagania od włościan. Rwały się wtedy dawniejsze ogniwa zobopólnej życzliwości, ale równocześnie powstała myśl, że »od stanu zamożności włościan zależał i stan dziedziców«. Interes zastąpił serce; »skutek materyalny prawie tenże sam, bo wzbudzający takąż samą troskliwość pana o byt jego chłopków; ale moralnie zesłiśmy daleko niżej«. Trzeci wreszcie okres wynikł z bankructwa wielkich majątków i zajęcia ziemi przez tych, co swe kapitaliki na tych majątkach niegdyś lokowali. »Improvizowani nowi dziedzice — powiada Chodźko — napłynęli na ziemię, bez innych celów i usiłowań, jak wynagradzania sobie przymusowo na niej lokowanych kapitałów. Usiłowania te powiększyły zapewne masę ziarna w kraju, ale też powiększyły i pracę około niego, a zatem i znoje włościanina, poglądającego na nowego pana, z którym go żadna przeszłość nie łączyła, nienawistnie, a często z poniewierką, jeżeli zwłaszcza był to parweniusz, w którym ekonomiczny pierwiastek przebiegał się w każdym kroku (a takich było bardzo wielu); i nastąpiło jakieś rozstrojenie, w którym zdawało się, że los

włościan najmniej nie obchodził właścicieli». (Nowe Pamiętniki Kwestarza, 1862, str. 145—150).

Tak więc nie szlachta z dziada pradziada, lecz parweniusze, wzbogaceni ekonomowie uciskali chłopów, zdaniem przemienionego w wyobrażeniach swych Chodźki. Owszem szlachta sama dawała inicjatywę do wyzwolenia włościan, a autor nasz z chlubą się powołuje na sejmiki gubernialne z r. 1817, o których Mickiewicz w przypiskach do »Pana Tadeusza« wspomina.

Ogół przyjął »Obrazy litewskie« sympatycznie, gdyż tchnące z nich uczucia religijne i rodzinne działały na serca, poziom zaś wyobrażeń autora nie różnił się od poziomu przeciętnej inteligencji szlacheckiej, a nie raził Chodźko takimi krzyczącymi paradoksami, jak hr. Rzewuski. Ponieważ bezwarunkowa większość czytelników składała się ze szlachty, a Chodźko w pismach swoich był rzecznikiem szlachetczyzny, ogół był zatem z autorem w zupełnej zgodzie i chciwie jego opowiadania pochłaniał.

Pod względem artystycznym bardzo znaczna, niemal przepaścista zachodziła różnica pomiędzy tymi utworami a »Poddanym« lub »Samowarem«. Nie szło już autorowi o zwięzłość opowiadania, lecz raczej o plastyczne odтворzenie szczegółów, o opis malowniczy miejscowości, domów, sprzętów; o żywe odwzorowanie ludzi, jeżeli mają w sobie coś znamienne. Chodźko jest w szczegółach realistą, lubo całość opromienia technieniem uwiel-

bień i rozrzewnień, a więc podmiotową idealnością. Fantazję plastyczną okazał on w tych utworach bardzo silnie rozwiniętą, jakkolwiek obejmującą tylko przedmioty najbliższego otoczenia. W dalszych utworach szła ona w szerz tylko, a nie w głąb.

W roku 1842 ukazały się »Brzegi Wilii«, ubogie w wątek powieściowy, ale bogate w przepyszne krajobrazy i zarysy charakterystycznych postaci, skreślone w »błogosławionych chwilach prawdziwego natchnienia«, jak się wyraża Syrokomla. »Oto zimny i wyrachowany pan prezydent, postać podobniejsza do naszej epoki, niż do staroświeckich wzorów; oto pan szambelan, wdowiec bezdzietny, bogacz, skąpiec, tchórz jakich mało — i z głową gorzej jak nie tęgą; oto pan Brzeziński, muzykus starej daty, kulawy, dobry do kielicha i imponujący orkiestrze swoim rwij! rozkazującym; oto ksiądz przeor, starzec głuchy z krzyczącym głosem, gotów zawsze po...bło...go...sławić każdej łączącej się parze; oto charakterystyczny sternik staruszek Bartłomiej, który się krząta na pływających do Królewca wicinach, gawędzi o starych czasach i komenderuje czeladzi swoim flisowskim językiem: staubuj! na stos! ulaż! — oto nieoceniony marcowy kawaler, pan Tadeusz Koniuszyc, wesoły, gościnny, przyjacielski do upadłego, lubiący mówić wierszami i grać na gitarze, z wiecznem na ustach przysłowiem: po maleńku i kategorycznie, które się u niego zamieniło w mąksmę życia; — oto наконец dwa typy jurystów: pan

podstoli, wykrętacz sądowy dawnego autoramentu, i pan regent, prawnik nowszych wyobrażeń«.

W r. 1844 wyszła trzecia serya »Obrazów litewskich«, zawierająca »Pamiętniki Kwestarza«, uważane powszechnie za najznakomitszy utwór Chodźki i liczące rzeczywiście największą liczbę wydań (dziesiąte, wyszło w Wilnie r. 1894 z portretem autora i trzema drzeworytami, str. 248; istnieje także wspaniale ilustrowana edycja warszawska). Nie stanowią one zaokrąglonej w sobie całości; składają się raczej z urywkowych obrazków i opowiadań, przedstawiających, z kilku przerwami, stosunki prowincjonalne (polityczne, a głównie obyczajowe) z końca XVIII i początków XIX stulecia. O psychologię Chodźce nie szło, tak dalece, że fakt wewnętrzny najważniejszy, t. j. przyczyna rozstania się Michała Ławrynowicza, domniemanego autora pamiętników, z wojewodą, został przemilczany, a powód wstąpienia do zakonu zbyty ogólnikiem. Tam natomiast, gdzie chodzi o nakreślenie znamiennych postaci (książę Radziwiłł Panie-kochanku, ksiądz gwardyan, a potem ksiądz definitör; Marcin, woźnica kwestarski; Swieboda, wdówka pijaczka; mąż sierzdzisty pod pantoflem; gwardyan symplak i t. p.), lub też o opis zwyczajów, obyczajów, praktyk sejmikowych, conceptów staro-szlacheckich, przygód powszednich, umysłów płytkich, Chodźko wywiązuje się ze swego zadania wybornie. Wielkie wypadki dziejowe, widziane z ciasnego kącika i obejmowane nierozległym umysłem (Napoleon

w Wilnie 1812 r.), również są dobrze odtworzone. Sytuacje wzniosłe, tragiczne (śmierć Wołodkowicza, śmierć ks. definitora), są natomiast niedociągnięte, wskutek słabego lotu fantazyi opowiadacza.

W czwartej seryi »Obrazów« (r. 1845) mamy cztery małe powiastki: »Jubileusz«, »Duch opiekuńczy«, »Autor swatem« (najmniej udatna), »Panna respektowa«.

W seryi piątej (1850) mieszczą się »Dworki na Antokolu« — ładna i liczna galeryja doskonale nakreślonych typów i scen. Romans Ludwika ze starościanką służy autorowi tylko za kanwę do przedstawienia już to widowisk samych, jak np. długo ciągnących się dworków, jeźdźców Świrskiego, Szemetowszczyzny, już to wspomnień, jak np. o sali Mülllerów, już to znamionujących epokę dawniejszą wypadków, jak np. dwaj Turcy na maskaradzie, zagajenie trybunału litewskiego, pełne uroczystości wniesienie na krzesło umierającego Łopacińskiego, podróż księcia Radziwiłła Panie-kochanku, polowanie w lasach żuprańskich, obiad w Szemetowszczyźnie, kompromisy, rozsądzone przez księcia, i jego skuteczne dziewosłębny w interesie Ludwika Dowiata.

Po »Obrazach« nastąpiły »Podania litewskie«, również seryami ogłaszane. Pierwsza serya z r. 1852 składa się z dwu pięknych powiastek: »Wykłęty« i »Kamień w Olgienianach«. Druga serya z r. 1854 zawiera najobszerniejszą kompozycję powieściową Chodźki p. t. »Żegota z Milanowa Milanowski«. Rzecz odbywa się na

Żmudzi w wieku zeszłym. Milanowski, mazur z rodu, mający przy boku nieodstępnych kozaków: Poroczkę i No-rejkę, żyje w nieprzyjaźni z kasztelanem S. i bratem jego, pułkownikiem cudzoziemskiego autoramentu. W konfederacyi barskiej kasztelan trzymał z królem, Milanowski z barszczanami. W sprawie o rękę Doroty Uwojnianki starli się przeciwnicy. Było trzech konkurentów: Mejra, pułkownik i Milanowski. Chorąży, ojciec panny, zwlekał, ażeby korzystać z sąsiednich pól, będących w sporze, a należących do spółzalotników. Nareszcie nadeszła chwila stanowcza: wszyscy trzej oświadczyli się. Mejra i Milanowski porwali się do pałaszów, na prośby przytomnych cisnęli je, ale poskoczyli do siebie z pięściami. Milanowski wyrzucił Mejrę za okno; pułkownik się spił. Milanowski został na placu i otrzymał pierścionek zaręczynowy. Gdy wracał do domu, zastrzelony został przez Mejrę. Przywieziono trupa do domu chorążego. Chorążyna wołała, aby zdjąć mu pierścień, ale umarły rękę zacisnął. Dorota, do głębi wstrząśniona, wstąpiła do klasztoru panien Benedyktynek w Krożach. Charaktery w tej powieści są odmienne od dawniej przez Chodźkę malowanych, mają w sobie dużo siły i determinacyi. Opowiadanie dość żywo się rozwija.

Serya trzecia i czwarta »Podań« z r. 1858—60 obejmują opowiadania: »Pustelnik w Proniunach« i »Nowy pustelnik w Proniunach«. Oprócz tych utworów seryami ogłaszanych, wyszły w r. 1857: »Dwie konwersacje

z przeszłości», zawierające ciekawą charakterystykę różnych faz w rozwoju umysłowo-literackim Litwy w przeciągu 50 lat XIX wieku. Po śmierci autora wyszły w r. 1862 słabe wielce »Nowe pamiętniki kwestarza«, do których przy końcu dołączył autor wiadomość o wolnomularstwie na Litwie.

Ostatnie lata Chodźki nie należały do szczęśliwych. Wprawdzie różne godności, jako wyraz uznania zasług jego literackich, spotykały go jedna po drugiej: w r. 1855 został członkiem komisji archeologicznej w Wilnie, w 1858 wiceprezesem komitetu włościańskiego tamże, w 1859 członkiem korespondentem krakowskiego Towarzystwa Naukowego. Ale najprzód strata córki, a potem artykuł Juliana Klaczki p. t. »Odstępcy« zatruiły mu resztki życia. Smutny, a nawet bolesny nastrój duszy wywołał u Chodźki kilka utworów wierszowanych: »Ostatni dziedzic«, »Rocznica«, »Mój kamień nad jeziorem Świrskim«.

Powszechnie i jednomyślnie dawniej wielbiony, został Chodźko bardzo dotkliwie scharakteryzowany przez Klaczkę, który przyznawał mu talent, ale zarzucał ciasnotę horyzontu umysłowego, co sprawiało, że u Chodźki »zamiłowanie rodzinnej ziemi znajduje ostatni zakres widnokregu w dziedzicznej wiosce; przywiązanie do dawnego sielskiego porządku czy nieporządku wyklucza wszelką myśl zmian i ulepszenia; zwrot w przeszłość pozostawia dla przyszłości tylko zwątpienie, obojętność i niechęć«. »Nigdzie utajonej iskry świętego ognia naro-

dowego, któraby z duszy autora przekradła się w duszę czytelnika i z wielkim bólem dała jej wielkie pokrzepienie; nigdzie tego westchnienia żalu, któreby otwierało pierś aż do niebios nadziei. Wszystko tu zacieśnione, poziome, odwrócone w dziedzinę wspomnień, rajskich wprawdzie, ale w łupinie orzecha, jak mówi Hamlet rozróżniony«.

Sens moralny pism Chodźki streścił Klaczko w tych jaskrawych słowach: »Co było, to było bardzo piękne, dobre, a nadewszystko dziedzicom wiosek przyjemne, ale minęło nieodzownie; teraz trzeba tylko trzymać się oburącz kęska puścizny ojcowskiej, otulić się kożuchem, spożywać barszcz domowy, — pouczać się obrazami dawnych czasów i wreszcie złożyć swoje kości obok popiołów przodków«. Pomijając zbyt wielką dosadność wyrażań, trudno nie zgodzić się z Klaczką na samą treść charakterystyki. W głąb duszy ludzkiej Chodźko nie zajrzał, kwestyj ważnych nie dotykał, uczuć wielkich nie malował, prądów wieku zrozumieć należycie nie mógł.

Właściwości swego usposobienia i talentu czuł sam Chodźko, kiedy pisał w autobiografii: »Nigdy ja nie był poetą we właściwym znaczeniu, jakie dzisiaj temu przymiotowi nadano; ale imienia rymotwórcy odrzec-bym się nie mógł niegdyś; bo też dziś poznano, że to, co w owych czasach nazywało się poezją, było po największej części rymotwórstwem tylko; rymów więc nam nigdy nie brakowało w potrzebie; nie zabrakło też natchnienia, ani

treści, bośmy cudze i obce sobie przywłaszczali. Ale wiek dojrzałszy mój na dojrzałsze i w literaturze trafił zdania i poczucia; przekonałem się i ja, że źródła prawdziwej poezji w sercu własnym szukać należy; a serce to moje napawało się natenczas uczuciami najśłodszymi człowiekowi, miłością szczęśliwego męża i ojca; napawało się rozkoszą spokojnego życia, pobudzającą mię w tkliwszych godzinach do poezji prostej, rzewnej, bogobojnej, do wierszy oznaczających niejako w pamiętnikach mych domowych peryody mego błogiego żywota...»

Co tu o wierszach swoich powiedział autor, z jednaką słusnością powiedzieć też można o jego utworach powieściowych. Polotu wyższego nigdzie w nich niema.

Wielbicielka talentu Chodźki, p. Kościalkowska, widzi przecież braki jego umysłowe, mówiąc: »Chodźko, którego talent jest nawskróś realny, trzeźwością poglądów artystycznych zarył się umysłem we wszystkie przesady, we wszystkie rojenia ludzi wstecznych i ciemnych... Tak samoistny, gdzie idzie o twórczość artystyczną, — gdzie idzie o zasady, o przekonania, zdobywa się zaledwie na niedołężne komunały niewytrzymujące krytyki, staje się echem biernem, chociaż i krzykliwem tego, co słyszy na prawo, tego, co słyszy na lewo... z przesadą niewolnictwa powtarza rzeczy osławione. Ta wrodzona mu trzeźwość, która tylko przed filozoficzno-społecznymi wywodami daje nurka, ostrzega go, że na drodze postępu bądźco bądź

stawać niebezpiecznie, bo obali nieprzepartą siłą i zdepcę. Dogodniej jest zatem obwieścić coś pośredniego.

»Ekonomiczne wycieńczenie kraju przy karmazynowych ferezyach, brylantowych spinkach, kosztownych furdymentach, iluminacyach w Nieświeżu, potokach miodu, zalawających rynki miasteczek, w których gromadzi się sejmikująca szlachta, stołach, uginających się pod jadem, spienionych puharach, po których okładają wojewodom lodem dymiące się łby, nie ściągnęło na siebie ani razu jego uwagi... Ten, co tak przesłicznie malował dwory i dworki, ani jedną czarną kreską nędzy nie zeszpecił harmonii swego dzieła. Kreska ta wprawdzie przewija się spodem, natrętna, coraz wyraźniejsza, ujawniająca się przed czytelnikiem, choć ją pominięto, i dlatego może ujawniająca się tak wyraźnie, że ją pominięto... Gdy idzie o zjawisko codzienne, należące do epoki, w której żyje, ten, tak szeroko o zaletach skromnego bytu rozprawiający pisarz, tak czuły na gangreny idące z dołu, niezbyt się gorszy, gdy pan prezydent targuje się z przyszłym zięciem o intercyzę i gotów w braku zapisu zerwać ułożone małżeństwo córki... Gromi lenistwo, zachwala pracę, ale obraca się najswobodniej w bawiącym się bez troski o jutro kole, nie może się powstrzymać od apoteozy kielicha...

Nowe zbiorowe wydanie »Pism« Chodźki wyszło w Wilnie w 11 tomach roku 1875—77.— Do życiorysu Chodźki sam autor podał trochę materiału, zarówno

w »Dwóch konwersacyach«, jak i w urywku z autobiografii, wydrukowanym r. 1858 w »Tece Wileńskiej« (Nr. 3, str. 38—56) p. t. »Peryody życia«. Ludwik Kondratowicz zaraz po śmierci Chodźki skreślił jego »Życie i pisma« (Wilno 1862, str. 96). Najobszerniejsze i najgruntowniejsze studium nad talentem i umysłowością Chodźki, po części na podstawie niedrukowanych listów, napisała Wilhelmina Zyndram Kościałkowska w »Ate-neum« r. 1884, t. I i II.

Piotr Chmielowski.

WSTĘP AUTORA.

Dnia wczorajszego zawołał mnie zrana pan wojewoda do swojej kancelaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś waść, ojcze święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem: — Aż do *Poezyny inclusive*, JW. panie!

— A dlaczegoż waść nie słuchałeś i *Retoryki*?

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć waść nie rektor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakżeby to i dobry *infimista* potrafił — odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne zadawał mi kwestyę.

— Nie gniewaj się, ojcze święty! — rzekł on — ksiądz kapelan, który, jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkcję, zachorował dzisiaj; musisz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie, jako do marszałka

mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra etc.

Usiadłem zatem przy stoliku, i przyłożywszy się regularnie — jestem gotów — rzekłem.

Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

»Wielmożny Mości!... a Dobrodzieju! — z figielkiem«.

— Jest — z figielkiem.

— Jakto? co waś napisałeś? — zapytał wojewoda, spojrzawszy przez moje ramię na papier.

— To, co JWpan dyktowałeś.

— Porzuć waś, ojcze święty, te ze mną facecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

— A skądże JWpan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem *infimę*?

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

— To więc JWpan chcesz, abym *Dobrodzieju!* napisał *per abbreviationem*?

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się dorozumiał, co znaczy z figielkiem.

— Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę przeszedł i na Akademię frekwentował, dyktować wolej *per abbreviationem*, jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębow dymu, i po niejakiu namyśle:

— Wiesz co? — rzekł — czy nie lepiejby, dawnym obyczajem, zacząć od »*Mnie wielce Mości Panie Bracie!*«

— I mnie się zdaje, że lepiej.

— Ale bo widzisz, ojcze święty, ta staroświecka fałszywa *parentela* wychodzi już z mody; i prawdę mówiąc, szlachcie nie bardzo lubi pobratanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, *Wielmożny Mości Dobrodzieju*, każdemu jednostajnie przypadające. Addytament *Jasności* przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlachcie nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc, ojcze święty, jakem wprzód dyktował... tylko że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* w swoim powiecie, a nie bardzo mnie życzliwy... jak się urazi za figielek, i weźmie to za *postpozycję*, gotów mi wzajemnego figielka wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacye aż z Warszawy odebrałem, pomieśza, a właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się... Pisz więc *Dobrodzieju!* wyraźnie."

Zadyktował potem cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyslać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu — Jak rozumiesz? ojcze święty: — zapytał — *uniżonym* czy *najniższym* sługą?

— A jakbyś JWpan napisał, gdyby nie sejmiki?

— Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a możeby się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JWpanu pisać teraz *uniżonym*: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a potem i *uniżonym* nie będzie.

— Mądrze mówisz, ojcze święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a zatem *non tam libenter quam reverenter*... — I wymawiając powoli tę jakoby *protestacyę*, podpisał się wojewoda *uniżonym* sługą.

— No, teraz, ojcze święty, wpisz ten list choćby tylko treścią, *ad continuationem* mego dyaryuszu, to jest, do tej księgi pod datą dzisiejszą; a potem go zapieczę-tujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki: i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też rozmaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkumstancye*; codzienne prawie *eventa* dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcyje plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego i w większej części, opisanie publik i sejmików, przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektórych w treści. Takóż rozmaite nowiny i zdarzenia krajowe, oracye i głosy, tak *in publico* przez samego pana wojewodę, jakoteż i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historye, sentencye, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyszów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostyki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpierwej skopiować postanowiłem, słowem, bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.

Na pierwszej karcie, nasz kochany, mądry ks. Ma-

ciej, kapelan, wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą *adornowany*, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,
Dla Tadeusza cnót ślicznej parady;
Za którą i sam postępując w tropy,
Wolny odprawi wjazd do nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie onej i kopiowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadło pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznajomą ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: »*Dum subera suberant, subera suberare memento*«¹⁾. — A toć — pomyślałem — wyraźną daje mi Pan Bóg przestrogę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otóż zręczność i *momentum suberare subera*; dodawszy do tego wątpliwość pańską, czyli ja traktował szkoły... *summa facit* — atłasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

»W *rekompensę* funkcyi sekretarskiej, oraz uznając »przykładną aplikacyę w szkołach marszałka dworu mojego, JJ. Michała Ławrynowicza, asygnuję mu ze

¹⁾ Drzyj lyka, kiedy się drą.

»sklepu kupca Abrahama w Połosku, atłasu paliowego
»w *echcie* na żupan łocki dziewięć. Datt. 178...«

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowałem,
nadszedł wojewoda.

— A co? ojczyści święty! gotowe? — zapytał.

— Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JW. pana. —
I podałem asygnację.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się, z czego
wraz sobie dobrze tuszyłem.

— Niechże i tak będzie — rzekł. Zręcznie się do-
mawiasz. Ale na cóż tak wiele atłasu? Czy nie możnaby
per abbreviationem? na przykład łocki pięć?

— Nie można, JW. panie, bo byłby żupan z fałszem;
a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić, na wszystko masz gotową ra-
cę. — I podpisał.

Powróciłem zatem do mojej oficyny w wysmienitym
humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko,
dumałem sobie to to *owo*; więc przyszło mi na myśl,
że to wysmienita książka pana wojewody, i gdybym
to ja taką pisać zaczął? — Uważałem rzecz tę *pro et*
contra.

— Na co mi ta praca liczna przyda się? Gdybym
to jeszcze był żonaty... to dla pamiątki dzieciom...

— A kto wie?... może i ożenię się? Panna Ra-
chela, respektowa wojewodzinej, nie źle na mnie po-
gląda...

— Tfu, do licha! — myślałem znowu — oto by-
łaby praca daremna... Teraz głowa wolna... Czy szatan

kusi? No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie;
nie z jednego pieca chleb jadłem i nie z jednego jeszcze
zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na sta-
rość kiedyś w ciepłej chacie nad czem rozpamiętywać?...
Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani je-
zuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi*
soli pisać będę. A zatem —

*Adsis inceptis Benigna Virgo meis!*¹⁾.

¹⁾ »Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!«

I.

Sejmiki połockie w Uszaczu ¹⁾.

Anno 178... odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie połockie. *Laus tibi Christe*, że prawie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do tej księgi, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej asystencji dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaka gratyfikację, choć oniby sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest, dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała

¹⁾ Uszacz, miasteczko dziś w powiecie dziśnieńskim, w gubernii mińskiej, w którym odbywały się sejmiki województwa połockiego.

w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet, leżały na lamusach i każdy przybywający żołnierz zrzucał siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w takież szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowę, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski, porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą i tygodniem przed wyjściem na publikę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzień na zmianę poparną za dworem na musztrę.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierzkę w pruskim wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopci nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować, i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: *nabijaj!* to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił, i z cicha pytał: *czy już?* Jak odpowiedzieli także z cicha: *już!* wtenczas krzyczał: *tou! tuy!* O Bożym świecie nie wiem, co znaczy takowe *tou! tuy!* Musi to być komenda niemiecka; ale po niej kurki *traf, traf*, nakoniec *cel! pal!* i zawsze jakbyś *orzech zgryzł*.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sieleckich i Norwickich z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *opressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi

i asystencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i asystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydobywałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego, żądanych z góry; a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reuta, dobrą mając po sobie potencję szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził *sto szabel*; wszedł on do miasteczka takowym szykiem: — Na przodzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyanem rotmistrzowskim w ręku, jakich już i nie widać teraz. Personat! niema co powiedzieć. A was! mój dobrodziej! was! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opieklých dziewczek, w czerwonych aksamitnych gęsto galonowanych gorsetach i błękitnych gredyturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za

niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego się takiej paradzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody i rejestr swej partii złożył mu w ręce.

— Ojcie święty! — zawołał wojewoda, patrząc na waltornie — miałbym tego za trzy litery, ktoby się do takiej partii nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów takich jak sam; a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on gracza do korda.

II.

Wizyta po przyjaciółach.

W wigilią *reasumpcyi* sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu, rzekł do zebranej drużyny: — Ojcowie święci! kto łaskaw ze mną do obejścia prześwieatnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

— Dlaczegoż pan podkomorzy pierwszej nie złoży *submissyi* panu wojewodzie? — odezwał się pan Rudomina.

— Mniejsza o to, ojcie święty! Nie idzie tu o *pre-eminencyą*, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom i dajmy pierwszy krok *ad unanimitatem* w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewódzkiego Korsaka, naszego także *adherenta*, szliśmy w kilkunastu za panem wojewodą.

Pan Sielicki, uprzedzony widać o tej naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordyalne napozór między nim i wojewodą zaczęły się *exwisceracye* i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgryzna i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody; zaczęliśmy więc pić regularnie.

W naszej kompanii, za wojewodą przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz z furdymementem, jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki, jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany: bo będąc chudym pacholkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał on na sobie żupan sajetowy *werdragonowy*, dobrze wprowadzie podszarżany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany; pod nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Nie podobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego panu szambelanowi, młodemu szalawile, podpitemu już dobrze i szukającemu zatem guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki: *Strzelczyk!* — powiadał — dalibóg *strzelczyk!* — Pan Stanisław pokręcał głową i nie nie odpowiadał. Tem ośmielony panicz, coraz to głośniejszym *strzelczykiem* go nazywał, z różnych stron *aspektując* jego

figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatem nie wytrzymał nakoniec i pan Stanisław.

— Panie bracie! Panie szambelanicu! — rzekł on — Waspan mnie znasz dobrze; ale że teraz nie poznałeś i nazywasz mnie szlacheica strzelczykiem, otóż, panie bracie, *strzelczyk waszeci nastrelaje!* — Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywa.

Szambelanie chwycił się do szabli. Natenczas postrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka; pan wojewoda uspakajał pana Stanisława; ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda; już bowiem przerwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie sklejonu, można było łatwo zgadnąć, na czym się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy tandem na obiad do domu.

III.

Wyzwanie.

Pan wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było i we własnej jego kwaterze nie najdziono; widać, że się gdzieś zaszył, aby nie być *molestowanym* przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanicem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* do mojej stancyi.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł — pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum* dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą, panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz, bratku, co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszym spotkaniem się obetnę.

— Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda...

— A gdyby i dziesięć wojewodów! — przerwał żywo pan Stanisław. — Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to; nie fatygowałbym ani siebie, ani mojego *Harasima*; ale pan szambelanice pan, a przynajmniej siada między pany; to potrzeba go nauczyć *mores*, aby *szlachtom* po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękasz się narazić wojewodzie lub siebie ekspensować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

— Na to nie pozwalam — rzekłem. — Funkcya moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi *negować* posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a zaczekaj tu na rezolucyę.

Jakoż i poszedłem do panów Sieleckich, którzy całą familią mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich śpiących, a młodzież w przeciwnkowej izbie podpiłą i dziwnie na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekreskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się z za stołu, na którym pełno butelek i dzbanów, szambelanice i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, po co tu! — na szpiegi? *na praktyki*?

— Nie jestem szpiegiem — odpowiedziałem — ale posłem; a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między nimi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki; głowacz to wielki, ale *filogranowej roboty*!... Więc go oni na swoją stronę chcą przeciągnąć, poili i ujmovali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak, że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako medyator i dlatego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywa u wojewody, więc powstał i wstrzymując zapędy szambelanica, rzekł:

— Mości panowie! to jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczye derpski. — (Bogiem a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem derpskim: bo ja, jak zawsze Ławrynowicz i nie wiem, jak kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym i derpskim). — Mój to dawny znajomy i przyjaciel; proszę więc go nie *agrawować* i wysłuchać.

— Mów więc swoje poselstwo! — krzyknęli.

— Poselstwo moje — rzekłem — tyczy się jednego pana szambelanica; możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie *semotis arbitris*.

— Niema żadnego sekretu pomiędzy nami; mów, jak stoisz.

— A kiedy tak, to i powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił waćpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcyę za krzywdę, którąś pan dzisiaj jemu dopełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań *postpozycyą*. Czekać więc on pana będzie jutro ze

wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, stąd o ćwierć mili, aby *in circuitu* jurydykcyów sądowych nie mieć *akcyi*. Przytem ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcyi i nie stawiał się na wyzwanie (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz — krzyknął szambelan — abyś dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

— A tymczasem — rzekł, chwytając za szablę Junosza, szlachcic z traktu zapońskiego¹⁾, zawołany sejmikowy zawadyaka — oporządził pana posła.

— Mości panowie! — rzekłem, odstępując w tył kilka kroków — protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jaki *grawamen*, zaraz *manifestuję* niesłuszny atak i od tego momentu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark zapończyka. — Idź spać, opoju! — rzekł, popychając go do alkierza. — Panie szambelanu! obudzę podkomorzego, jeżeli nie dasz pokoji tym burdom. — A do mnie: panie marszałku! zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz. — Panie Michale! — rzekł on — wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię dyabli nadali przychodzić z taką propozycją, gdy ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej

¹⁾ Trakt zapoński, dziś w powiecie borysowskim, w gubernii mińskiej idący, nasiedlony dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bójkach.

(rozumie się wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? dlatego jedynie byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanem, gdy przez noc szum z głowy im wyjdzie. Wąść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie — odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Nieźle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczą. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał! — pomyślałem i uściśnawszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie. — Panie bracie! panie Michale — rzekł potem — pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory i zaraz spać: bo przededniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę. — Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie i kazał asystować sobie do pana Rudominy, który go na wieczorną hulankę zaprosił.

IV.

Wieczorynka.

Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie

szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapeli na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich; i pan Sielicki miał swoich muzykantów i z dziesiątek żydków z cymbalami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują koronczyków sowicie.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadała z domów, krzyczała: »*Wiwat pan wojewoda połocki! wiwat!*« Chwytała przytem na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się tej subiekcyi wojewoda, owszem wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partią przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszy puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwiesz, a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perorował:

Panie wojewoda!
Co to za moda?
Na to nie zgoda!
Żołnierzy zbierasz,
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chałastra: *Szlachtę pożerasz!* — Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy, co z tego będzie? Zacerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra i ukloniwszy w około — Ojcowie święci! —

rzekł — piję za zdrowie przeznacznych braci szlachty traktu zapońskiego. *Wiwat!*

— *Wiwat!* — wrzasnęła szlachta — *wiwat* wojewoda połocki! *wiwat!* — I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzucała w górę, nie przestając wykrzykiwać: *Wiwat!*

Jakto u nas nigdy w sercach zawziętości niema! Ale domysliliśmy się, że wiersze składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa, jak do doktora po recepta, udają się po oracye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przebywszy zatem szczęśliwie wszystkie szkopyły, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześciami waltorniami, w licznej *komitywie* przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z *marcypanów*, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonej zwierzyny *quantitas*, że aż stół się ugiął. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejmikami poluje ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptactwa na szerokich cynowych blatach góry poukładane: prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów do rosołu. Odbyszy więc kolejkę starej wódeczki, zaczęliśmy repetować wyśmienicie, zapijając tłuste kęsy wybornym trojnakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce opróżnionych mis i półmisków stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą

odmianą, nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina i zaczęły się wiwaty.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zręcznie z nich nalewałem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens* szczyry ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody, układamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory upić się i wytrzeźwić się można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam*.

Więc tedy po wieczery piliśmy u pana Rudominy *lautissime*; za każdym wiwatem, do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewczki przyspiewywały chórem i wesoło:

Wypił, wypił, nie zostawił —
Hu! ha! nie zostawił!
Bodaj go Bóg błogosławił —
Hu! ha! błogosławił!

a potem huknęły *kurdesza* i *czumadrychę*. Wytrzymać już nie można było! *Czumadrycha*, to skoczna nuta: więc poły za pas zawinawszy, wyrwali nasi bracia dziewczki od waltorniów, i dalej w *obertasy*.

Ja tego uczynić nie mogłem z racji prezencji wojewody, ależ jednakowo choć na miejscu podskakiwałem:

bo i w głowie szumiało, i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotych posypało się, trudnoby zliczyć. Garściami dziewczki zbierały pieniądze, ależ bo i warte tego! Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki: hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przełknięte dziewczki wrzasnęły okrutnie, my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci... Wnet ktoś zawołał: Łapać *excesantów!* — a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po śliskiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwaślił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli: Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wciąż! — nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu oba uwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany — istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nie nie pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili. Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc, że pijanice jakowś, strześliwszy do okien naszych jak w ul, w tenże moment przeskoczyli ostrokół, i już byli daleko, gdyśmy ich szu-

kali; znaleźliśmy tylko pod płotem rozek z tabaką, i to cały *sukces* wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przeproszał go pokornie, choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!

A my jego słudzy,

Pijmy, jak i drudzy.

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz! ¹⁾

I rozпалиwszy pochodnie — poszliśmy do własnej kwatery.

V.

Pojedynek.

Nazajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław. — Panie bracie! panie Michale! — rzekł on, budząc mnie rozespanego — wstawaj! konie gotowe!

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się

¹⁾ Dawna piosenka hulacka.

obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tem bardziej, że dziś *reassumpcyą* sejmiku.

— Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu. Wiem przez moich szpiegów, że Jeśpan szambelaniec bez zawodu stanie na placu z kilku *adherentami*, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa... nie pociągnie... nadzieja w Bogu i w *Harasimie*.

Przypasałem więc i ja moją *Elżutkę* — szablę *Augustówkę*, którą mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno kłusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył *Harasima* i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył małą paczkę i położył ją na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie! — zapytałem.

— To, panie bracie, chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym — (tu poprowadził palcem przez nos i gębę) — zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje. Waść młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starszego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówmy tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić. — *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* — wymawiał ze skrucą, bijąc się w piersi, pan

Stanisław — *ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa. Amen.*

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając wąsa i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swiebody. — Miłyż Boże! pomyśliłem — nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie. — Pan Swiebody urody nie wysokiej i przychromywa trochę na prawą nogę: bo na którymś sejmiku w piętę go podstrzelono. Na twarzy jego, dyabeł (jak to mówią) grał w stryszka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilką szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjąwszy *Harasima*, nastroił marsa, uciekała oden szlachta, jak od bazyliuszka. Klębów pan Stanisław zupełnie niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszać! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego affektu!... W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona posługuje mu wyśmienie. O swoich kresach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc: *Plażyłem ja, plażyli i mnie.*

Niezdługo ujrzelśmy sześciu konnych, sadzących do nas nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

— Żle, panie bracie! — rzekł pan Stanisław — już podobno nie trzeźwi: lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam; a ty, panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiadli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelanic dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi *Harasima*, podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwigał potężnie!... furknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanic, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co? panie bracie! — rzekł pan Stanisław — *ustawaj na plecach rabić kryża nie budu.*

— Pogodzimy się, panie podczaszy! — rzekł powstając szambelanic. — Zgoda! zgoda! — krzyknęli jego sekundanci — masz satysfakcyę, panie podczaszy! — Zgoda! panie Stanisławie! — rzekłem i ja. — No, to niechaj sobie i zgoda! — powtórzył pan Stanisław, chowając *Harasima* do pochew. — *A druhi raz, panie bracie, nie zaczepiaj strelczyka, bo Waszeci nastrelaje.*

Znowu krzyknęliśmy: Zgoda! — Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.

VI.

Sesja sejmikowa.

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdy stanął przed nim i opowiedział rację mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winał *wiktoryi*.

Trafililiśmy na same *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zwłaszcza *excesie*, gdy podobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję na cmentarzu około kościoła, i postawić sztyldwachy przy drzwiach.

Już nawet rzekł do mnie wojewoda: Ojcie święty! biegaj do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta... kapela na przedzie.

— A któż będzie sejmikować? — odezwał się pan Podwiński — bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JWpan zagał sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a rumor nieżyczliwy, który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JWpan chcesz *opressive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcie święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zanego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacji*, bo obywatela zaci i uczciwi do takiej akcyi wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycję* na nich chowa; a w ogólności, u naszej pocziwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzji? ojcie święty!

— W konkluzji, idź pan śmiało do kościoła i za-

siądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pisarza; a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda: Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządzicie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcie święty, powracaj tu do mojej asystencji.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy stamtąd z należytą *adoracją Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł do mnie pan Stanisław — po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukę* pięćdziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopcy jak dęby; zajmę z nimi *prezbiterium*; uręczę, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

Dictum — factum. Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworów, wołali: Swiebodeczuki! a dokąd? Swiebodeczuki! — Porczyńscy po-

glądali z pode łba, jak niedźwiedzie i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płaćnął który!...

Zasadziwszy więc ich podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawścieżaj drzwi kościoła, a zamknąłem furtkę od zakrystyi i schowałem klucz w zanadrzu, aby na wszelki wypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatem ruszyliśmy do kościoła.

Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił i dalipan po pańsku. Kontusz granatowy z sajety jak atlas, ze sznurami i kutasami złotymi; żupan materyalny, spięty karbunkulem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałby chleba na całe życie; pas bogaty w karpią łuskę, a złoto ciekło z frendzlów; наконец wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwą koło łba nie chodzi; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak obłany. A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodźnika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewodą szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za nimi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako i Swiebodeczukom, po bigosie i pa-

lonym krupniczku ¹⁾ z łysin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine* i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między nimi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przewali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuszczim i zamknem drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawalił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

— Ojcze święty! masz rozum — rzekł on. — Chciałem mu przypomnieć *infimę*, alem właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atlasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą swiebodzińską gromadką. Zapończyki *opstupuerunt*, ujrawszy nas jak z nieba spadłych.

— Zdrada! zdrada! — krzyczał pijany Junosza — Twardowskiemu dyabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o dyable

¹⁾ Krupniczek, wódka palona z miodem i różnemi korzennemi zaprawami.

tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wyklną, a my upieczem na stosie, jak raka. — A toż, mości panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. — Precz z domu Bożego! precz!

I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy, ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę, a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Norniccy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

Otóż to zaczął się hałas i rwetes, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reasumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli: Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reuta*! Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*! — Nasi wrzeszczeli: Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski*! Posłowie województwa połockiego!

— A gdzież on? ten pan *Sulistrowski*? — zapytywali.

— W antypodach! — z przygryzkiem odpowiadali inni.

Wtem pan Stanisław ukazał się z nagłą na kratkach i wrzasnął okrutnie: Prosimy naprzód spalić heretyka

Junoszę! kto w Boga wierzy, *pal!* bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli: Palić heretyka! palić!

Spojrzałem w oczy panu Stanisławowi. — *Stemus simul!* — rzekł on do mnie — popieraj moją propozycję, panie bracie!

I znowu zaczął perorować: Kto z kim przestaje, takim się sam staje; więc i my, mości panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask: Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem: Nie pozwalam! Junosza nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tęgiego trojniaku i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie żarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba, aby był wprzód *jure victus*; a zatem spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o *exhibicyę* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie potrzeba, bo heretyk, a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachty i dobrodziejów zapraszam.

— Niema zgody! — krzyczał Swieboda i Swiebozdzińscy. — Na co te ceremonie z heretykami? *Pal!* kto w Boga wierzy, *pal!*

— Pławić! — krzyczałem ja i dawałem znak moim wojewodzińskim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrzęsł

się. — Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — czyście poszaleli?

— Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno: Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycję* Junoszy... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem: Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum* pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Wiecie co? moi panowie! dajmy Junosza na próbę.

Widząc on zatem, że gotowi dla samej ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem poza filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wraskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyśpieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencya* pana wojewody *ex abrupto*, niezawołana,

przeto powtórzywszy znowu: Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje! — dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na którem rozumiem, iż zajdzie całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum*? jakie *laudum*? — odezwali się Sielicy. — Na żadne niema zgody.

— Otóż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum* — rzekł powstając pan pisarz — bo teraz krzyczycie, nie wiedząc o co.

Promotor ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda; a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *reassumpcyę* i *laudam*, w którem wyrażał: aby każdy, ktoby *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto? — wrzasnęli Zapończyki — a na cóż u licha szabla, gdy jej wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczywo do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany*! niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na

drzwi, w których wnet ukazał się pan Alojzy Sulistrowski, pisarz wielki litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmańczuk: ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę, Wiszniew, Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencji*, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kocieleł* i pan *Biełkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w połoskiem województwie jakiś folwark, postanowił stąd posłować i napisał wcześniej o tem do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do krateg, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość, kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie, że przybywa z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, tak wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą, jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stolla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan Sulistrowski wiedział, a szlachtom ani się śniło! Powracają więc potem spuściwszy nosy na kwintę, do domów, i przeklinają Sulistrowskiego, że ten intrygant i *farmazan* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan Sulistrowski, uściskał poufale pana wojewodę, przywitał się

grzecznie ze wszystkimi i wyjął z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie, mówiąc: »*Od Króla Jego Mości*«.

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go: Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego pana bardziej się tycze całego naszego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgłędu nastało milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata*!

»Wielmożny uprzejmie nam miły!

»Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszedł, prawem oznaczony. Prześwietne województwo połockie posiada zapewne w gronie swoim mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Alojzy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadcz Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę naszą królewską. Dobrego przytem zdrowia Uprzejmości Waszej od Boga życzymy«.

Po odczytaniu znowu było milczenie; aż ktoś z ławek odezwał się: Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! A tem jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uwa-

żam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty *ausus sum* funkcję poselską na przyszły da Bóg sejm piastować i o takową dopraszam się. Przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach* (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstepuję *ambijencyi*, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nie nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: Prosimy pana *Sielickiego*!

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: Oto *Reverendissimus Reut* z kazaniem: Bo też zjawił się na ambonie pan *Reut*. Obrócili się wszyscy do ambony, a pan *Reut* tak perorował:

— Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcie! a szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo; a co do króla Jegomości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanie senatorowicz, a ja łowczyc z Amtorowicz (tak się nazywa folwareczek pana *Reuta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi*.

— Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reut*! wiwat pan łowczyc poseł nasz! wiwat!

— Prosimy pana wojewodę o wota. Kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególnie przeciw panu *Sulistrowskiemu*: Na co nam oszmańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on, na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie; a ten się odezwał: Ojcowie święci! spóźniona pora; sejmik jest *reassumowanym*; odwołuję więc sesję na jutro.

— Niema zgody! — krzyknęli *ex opposito* — niema zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki* — więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sesja odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: Panie wojewodo! dawaj *kałkuły*. Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reut*!

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda: Ojcowie święci! odwoławszy sesję, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest przez zakrystę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam; jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojcze święty!...

Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski*; zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest z cicha i skromnie:

— Racz, mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sesji do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przezemnie samego teraz przesyła panu dowód swej łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy waż-

nej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

Sielicki zaczął miękczeć i konferować ze swoimi. Szlachta, nie wiedząca o niczem, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła: *Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!* I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz? — zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcej znalazło się Mateuszków, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tem samem uważanym jest promotorem swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderacyi*; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjawszy czapkę w górę, zawołał: Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycja. — Na pieczenie! — huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni; i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci! — rzekł wojewoda — piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwieatnych urzędników na obiad pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakej *molestacyi* i podkomorzy, więc wszyscy hurmem wyszliśmy z kościoła, i wnet cały Uszacz zajął pieczenie.

VII.

Obiad u pana wojewody.

Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan *Sielicki* podkomorzy, naczelnik naszych oppozytorów, więc za nim przyszli i panowie *Norniccy* i *Przeciecy* i pan *Reut* i kilku niższego chóru braci szlachty z ich partyj. Wszystkich najuprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególnie jak to *fawory* królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości okoliczników, pan pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość wysłał pana podkomorzego posłem do Turek, a cały trakt zapoński wyznacza mu na asystencyą i *sumpt* własny ma *spendować*.

— Czy to aż za morze? mości dobrodzieju — zapytał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdiesz.

— Da pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli — rzekł szlachcic, widząc domowy *famulus* pana *Sielickiego*. I pokręciwszy głową, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan *Sulistrowski* unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał *konferencyę*. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską, więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznieść wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda: Ojcie święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzińcu, gdy usłyszysz trąby — *Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą i rzekłem z tęgą miną: Waza na stole! — Zasiadano więc do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycyi pańskiej.

Obok pana wojewody usiadał z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej, pan podkomorzy *Sielicki*. Pełniając moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu rzekł on do mnie: Ojcie święty! *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody *kapitałne* stare francuskie wino, które pachnie chlebem razowym; od zapachu więc tego nazwał on je *chlebem powszednim*, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprowadzić między moją prowizją sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego *chleba powszedniego*, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo zrozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego *specyału*. Poznałem zatem po zakroju, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy, na czem zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy

wojewodzie, a hajduki niesli za mną *chleb powszedni*. Powstał pan wojewoda, i ujawszy nalany z pełną: Zdrowie! — rzekł — JW. Sielickiego. Przestał, a potem dobitnie zawołał: Kasztelana województwa połockiego. — Spojrzał zdziwiony pan *Sielicki*, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a wtem powstał pan Sulistrowski i rzekł, dostając z nadry znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią: *Król Jegomość*, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swej łaski pańskiej, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego i *konferuje* wakujące krzesło senatorskie kasztelanii tego prześwieznego województwa. Przywilej Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abys jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał dziś swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej, i jedną ręką oddając go panu *Sielickiemu*, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! *Apel!*... — i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dziedzińcu.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przywilej w rękę, a łzy mu po twarzy grochem się sypnęły.

Kielich przyjął od wojewody pan *Sulistrowski* i też same powtórzył słowa zdrowie; więc znowu trąby i salwa; szło tak dalej i dalej, gdy pan Sielicki oterając z łez twarz i wąsy, rzekł do mnie: Panie marszałku! proszę o kielich. — Podałem nalany.

Jeszcze gęściej łyż mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodziewaną godność. Proszę uniżenie? nie płakałby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w pocziwem sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste*, powiedzieć trzeba, że pan Sielicki znaczny człek i godny obywatel.

Ledwie więc wymówić mógł on, i niedosłyszałem jego *kongratulacyi*; skończył głośniejsze i zrozumiałej; bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego posła województwa połockiego. — *Wiwat!* — wykrzyknęliśmy wszyscy huczno. Od trąb i salw aż okna drżały. Pan *Sulistrowski* podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podaliśmy więcej kielichów, każdy chwycił je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego kasztelana, i dla przyszłego posła. Jeden pan Reut, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głową; ale gdy kto z tłumu wykrzyknął: Zdrowie pana *Brzostowskiego*, drugiego posła naszego! Pan *Reut* nie dotrzymał i zapytał: Cóż to? moiści panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spojrzawszy nań z podełba, i zeicha ale dobitnie rzekł: *Chapaj Reut miasa!* — Coby z tych *allokucyi* między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do *Harasima*, bo i pan *Reut*, nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan *Sulistrowski* nie spuszczał z oka nikogo; postrzegł on już pierwszej, że pan *Reut* nie przyjął poda-

wanego przezemnie kielicha, i poznał widać po minie co się święci. Nieznacznie więc przechodząc tłum, zbliżył się do pana *Podwińskiego*, szepnął mu coś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana *Reuta*, szeptał mu długo i poprowadził go za sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan *Sulistrowski*.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie zeicha: Oj! panie bracie! na ciężką *konfessatę* wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma — odpowiedziałem. — Oho! to łeb *Scholarum Piarum!*

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan *Sulistrowski* p... wrzucił. Pamiętasz koniec Reutowskiego kazania?...

Nikt tych obrotów i manewrów prócz nas nie *zaobserwował*; więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza pod ręce wzięwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan *Sulistrowski* z uśmiechem na twarzy, i pokręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie stroił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanu! — rzekłem do pana *Brzostowskiego* — podziękuj pan zacnemu swemu współamjentowi, który się zrzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— O, to czarownik! — rzekłem do pana Stanisława. — Czy *inkluzyę* ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma inkluzę i nosi ją tu — odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się jawnym affektem pan *Brzostowski* z panem koniuszycem; a pan wojewoda patrząc na to, rzekł:

— Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą *influencyę* pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich: Wiwat pan *Sielicki poseł turecki*! Wiwat!

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali co to ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzycheć podzucając czapki w górę: *Wiwat poseł turecki*! Pojedziemy wszyscy za nim do Turek, choćby i za kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody i wytłómaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozwagi: Pójdźmy — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosim zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojęństwo pana kasztelana połockiego, i z nimi razem powtórzmy: *kochajmy się*! — Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podeszedłem do niego.

— Prezentuj broń! — krzyknął on, ujrzawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tempy — udało się. Potem: Do nogi broń! — to nie bardzo kupno poszło. — A teraz nabijać? — ale zagniewany Piekarski, że nie rażno spuścili broń do nogi, dodał z cicha:

— No, poczekajcie tylko!... — Więc zaczęli poczekiwać. Piekarski znowu: A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie! — więc nabili. — Gotowe? Gotowe! — To znowu: na ramię broń! — i stoją, czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda, do którego i ja wróci-

łem, na ganku perorował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana *Sielickiego* obok z nim stojącego. Więc na skinienie pańskie wykocić wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i toczyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć czem pić będą, bo wszystkie z całego *Uszacza* półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kieszeniach u braci szlachty, a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywieźli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w której prawdę mówiąc, najczęściej było słyhać »ojcowie święci«, a której słuchała szlachta z otwartymi gębami: Wypijmyż — rzekł — zdrowie nowego senatora JW. Kasztelana połockiego! Apel!... — Piekarski komenderuje: *tou! tuj!* kurki *traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem — *Cell! Pall!*... jak orzech zgryźli. — *Wiwat!* — krzyknęła szlachta — kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! taki pojedziem z nim do Tureczyny. — Znowu Apel! i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia rozochocony wojewoda zakomenderował raz trzeci *Apel!*... Jeden strzał zaciągnął... coś mi świsnęło koło ucha... coś brzęknęło obok... a wojewoda poślōnił się aż na mnie... Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii: Proszę się bawić... — a do mnie: Ojczy święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan... krew polała się potokiem..., aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się przeląknęłem.

— Ojczy święty! ratuj! widzisz, zabić mnie chciano! — Ja drżałem jak osina i krzyknąłem bez przytomności: Gwałtu! ratujcie! — Cicho! — przerwał mi wojewoda — czy sfiksowałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera,

a sam jedź co najprędzej do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia księży Jezuitów.

Wyleciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera w kuchni, posłałem go, a sam w kilka minut już byłem na wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tęgimi końmi; ale że tu właśnie było *periculum in mora*, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem o milę, koń padł; odciąłem postronki i dalej... przyleciałem.

Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoją podróżną apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie Jezuita dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe, czekające na nas konie, i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego do Uszacza.

Bo też to sławny doktor na cały świat: *alchymik, astrolog, fizykus*; a gdyby nie był Jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem, toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszka gadającą. Powiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na wszelkie pytania, które staruszkowi zadają; ale i staruszek gębą i oczami rusza, tak, że przysięgłbyś, że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełny chorych, a szczególnie podstarzałych dewotek, które razem i peregrynacją do ś. Bobolego, i kurycyę u księdza doktora odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole, które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od gwiazdy orderowej, na szczęście lanej ze srebra, siedm kołków na niej zostawiając. Gdyby nie ta gwiazda na piersiach, grankulki byłyby w sercu, a panu wojewodzie *amen*.

Wojewoda cierpiał bardzo; krew z ran się dobywała, choć pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet i ból ulżył, i krew się zatomowała zupełnie, a zatem i wesołość na twarz raniomemu wróciła. Jednak zabronił *pater* wojewodzie sejmikować. Zrozumieliśmy, że pod *allegoryą* zabraniał wiwatów: bo chory chciał zaraz jeden spełnić za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten niemiec nie odrzucił jego pajęczyny, byłby wojewoda zdrów za parę tygodni i mógłby przytem śmiało ciągnąć *chleb powszedni*.

Winowajcę wnet odkrył *Piekarski*: bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnow zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę; a ponieważ dał był każdemu dla *wszystkiego* po jednym ładunku z grubym wilczym szrotem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta *konkluzya*, że on był winowajcą, do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dojść prawdy.

Zatem wszyscy się uspakajali, że to nie szlachcic żaden, ale własny poddany wojewodziński takowego excessu się dopuścił; a tak żadnych już suspicyj na sejmikową zawziętość nie było; owszem, wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski, pewny już swojego, raniuteńko pożegnał wojewodę i wszystkich panów, urzędników, obchodząc ich od kwatery do kościoła pod laską nowego już sena-

tora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sessyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów *Sulistrowskiego* i *Brzostowskiego*, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem: Zgoda — i na końcu: *Wiwat!*

Ichmość *electi* wzięwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony. Wtem odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan *Sulistrowski* uściśnął kolegę w babinę, poprosił go, aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcyę województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, uklonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do koczka i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwno było wszystkim, że z nim siadł i pan *Reut*, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetowszczyźnie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczyk, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym, co zostanie.

VIII.

Po sejmikach.

Otóż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast

sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto, a gwiazdę srebrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do *Ostrej Bramy*.

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niema co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie coś do niego ciągnie; i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojej oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie... to nie przeszkadza ani *Litanii*, ani wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, *sekssternik* szust do kuferka i dobranoc.

Książdz Maciej, nasz kapelan, który wie o mojej robocie, widząc, że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopiował naprzód dwa jego kazania, które z pół książki zajmują, a potem *maksymy* i *sentencye* łacińskie, które podobno sam on na polski dyalekt wierszami przewertował i do księgi wojewodzińskiej w obu dyalektach wpisał.

Sentencye te i akumina jezuickiej bodaj jeszcze po większej części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych *sensatów*: bo u młodych łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytacya ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło; a w dyspucie, to jak klin żelazny, który zgryść trudno, a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyszeć zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinkowano wszystkich i zakończono żwawą dysputę.

W życiu więc dworskiem, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładu takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że ksiądz Maciej zmodyfikuje się przy lampeczce trojnika.

Sentencie

z książki pana wojewody.

1.

Dum recte vivis, non curas verba malorum.
Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.

2.

Omnia si perdas, famam servare memento!
Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru swego!

3.

Fac bene dum vivis, post mortem vivere si vis.
Czyń dobrze za życia twego, dojdiesz spoczynku wiecznego.

4.

Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.
Niemila jest taka praca, za którą nie bywa płaca.

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zrzeczności nie zaniedbam użyć tej mądrej sentencji.

5.

Crescit amor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.
Komu pieniędzy przybywa, więcej starania miewa.
Zdaje mi się, że tu ks. Maciej chybił kadencyi.

6.

Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.
Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

Inutilis quaestio solvitur silentio.
Kto bredzi, niema odpowiedzi.
Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

Non agnoscitur bonum, nisi omissum.
Kiedy czego pozbedziemy, wtenczas tego żalujemy.

9.

Cum fortuna perit, nullus amicus erit.
Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.

10.

Verba ligant homines, caetera animalia funes.
Ludzi słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda, konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencję podobną do tej w *sonacyi*, ale innego moralnego sensu: *Vinum bibunt homines, caetera animalia fontes*. Tak dobrze, jak i ksiądz Maciej, mogę ja to wytłómaczyć, na przykład: Wino napój dla człowieka, a dla nieczłowieka, rzeka — *supponitur*, że kto nie człowiek, to *animal est*.

11.

Audi carnificem, spernens audire parentes.

Kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów.

I tu ksiądz Maciej nie trafił na kadencję, choć mąksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo z czwartem przykazaniem zgodna.

12.

Nondum sunt visi, qui caruere nisi.

Nikt bez ale, panie Michale.

Jakby do mnie napisał; ale nie mam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę: Oj! tak, tak! *nikt bez ale, panie Michale.*

13.

Non omnes sancti, qui calcant limina templi.

Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają.

Figurycznie toż samo znaczy. — Wszyscy my ludzie, i ksiądz pleban człowiek.

14.

Hospes non invitatus, recedit saepe ingratus.

Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

Exeat ex aula, qui cupit esse pius.

O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazoni coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorszenia, i daj Boże

nie obaczyć. Tu u nas ks. kapelan codziennie mszę w kaplicy ogrodowej miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkimi rezydentkami respektowemi jej słucha; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł! pięknejby oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożej gorąco napomina. W każdym dworze pańskim, tenże sam *praeter propter* znajduję porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle, gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.

16.

Cum bono, bonus eris; cum perversis, perverteris.

Z jakim kto przystaje, takim się sam staje.

17.

Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.

Bóg takiego nie opuści, który się na Niego spuści.

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolały chudeusz, spuściwszy się na Pana Boga, woła, że go Bóg opuścił, to nieraz mu odpowiadają: *A na coś się na Niego spuścił?* Jakże tu pogodzić te *contraria*? pono najlepiej wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny:

Ufaj! Bóg ci dopomoże;

Ale pracuj sam, nieboże!

18.

Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.

Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzej biedy.

19.

Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.
Często nasze radości, są przyczyną żalości.

20.

Quod cito fit, cito perit.
Co się prędko wznieci, nie długo się świeci.

21.

Dormit nocte parum possessor divitiarum.
Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniędzy wiele.

22.

Virtus promotore carens, non surgit in altum.
Cnota, praca i pokora, upada bez promotora.

23.

Ex duobus malis, unum minus eligendum sit.
Ze dwojga złego, imaj się mniejszego.

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch sióstr rodzonych, poszedł za tem przysłowiem: wybrał mniejszą, i wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swej żonczki: *Mała jak palec, a zła jak padalec*. — Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podeczasynę: małeńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

Ex meritis vitae, dependent ite venite.
Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz.

25.

Cantabit vacuus coram latrone viator.
Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.
Śmierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

Ex libro doctus quolibet esse potest.
Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z księgi.

W szkołach jeszcze nasłuchiłem się tej *sentencyi*; tylko tam mówiono: *Ex libro doctus, ex capite stultus*. — Bodaj to i na mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

Quae feceris parentibus, eadem a liberis expecta.
Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

Vilius argentum auro, virtutibus aurum.
Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach naszych bogaczów.

30.

Ferunt summos fulmina montes.
W najwyższe góry bije piorun z chmury.
I o temby im pamiętać nie wadziło.

31.

Dum veneris Romam, romano vivito more.
Kiedy siądziesz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. *Komparacya* wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy,

a zamiast podkładania tego starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens tej sentencji.

32.

Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.

Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokołem.

33.

Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.

Komu praca jest kłopotem, oj! oj! będzie wołać potem.

34.

Frangenti fidem, fides franget eidem.

Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamię.

35.

In vili veste, nemo tractat honeste.

Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

In vestimes non est sapientia mentis.

Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otóż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckiem naszym przysłowiem: *Choć ubogo, ale chędogo.*

37.

Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vulturn.

To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

Honores mutant mores, sed raro in meliores.

Z honoru większego, rzadko co lepszego.

39.

Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis.

Przeciw srogiej Libitynie, niema rady w medycynie.

40.

Cur multum peccas, si multum vivere curas?

Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.

41.

Lingua est indicium animi.

Poznać zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy.

42.

Scripturarum autor, scribenti sis fautor.

Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

Verbis, ut nummis utendum est.

Ostrożnie i wedle miary szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciał ksiądz Maciej; lepiej niżeli w łacińskim, niema co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

Ex magna coena, stomacho fit maxima poena.

Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

Fefunus stomachus raro vulgaria temnit.

Gdy dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

46.

Post mensam stabis, vel passus mille meabis.

Po obiedzie nie przylegaj, ale tysiąc kroków biegaj.

47.

Post tres saepe dies vilescit piscis et hospes.

Ryba i gość dnia trzeciego niewiele mają smacznego.

48.

Longa solent sperni, gaudent brevitate moderni.

Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

Absint offensae, cum sit celebratio mensae.

Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnej zwadzie.

50.

Sine labore, non erit panis in ore.

Kto nie chce pracy znieść, ten nie ma czego jeść.

Mając taki zapas sentencji, nietylko w dyskursach *sensatem*, ale nawet w potrzebie i *oratore*m zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody...

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na pierwszej z pozostałych następuje:

IX.

Ucieczka.

...Pan wojewoda tak fulminował, że Bóg wie, coby się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu i *bene natus*, gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi połocki Korsak, przyjaciel i admira-
tor wo-

jewody i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swej stancyi, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilku talarami i jednym dukatem węgierskim z wizerunkiem Matki Boskiej; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem i nie mogłem: bo gdyby wpadło w ręce wojewody, com powyżej o nim zapisał sobie ¹⁾, lubo to szczerą prawdą, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie za nadrę i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki) i powiedziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka (a miasteczko nasze tuż za groblą), ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do *Głębokiego* ²⁾; to sześć mil dyabelnych; i lubo już mrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń, sieczony kańczukiem, leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół mili drogi, gdy on padł bez ducha, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nademną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców Karmelitów; szarzało się na dzień, gdy do kościoła się dostał; księża śpiewali jutrznię i ksiądz przeor do powszechnego zbudowania był z nimi.

¹⁾ To właśnie wydarto.

²⁾ Głębokie — miasteczko teraz w powiecie dziśnieńskim, w gubernii wileńskiej.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz przeor sam jeden i najpierwszy wyszedł z chóru; na korytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

— Co tu robisz tak rano? panie Michale! — bo mnie zna dobrze i mamy niejakaś, choć daleką kolligacyą.

Wytłómaczyłem mu więc niespodziewany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie — to inna *facies rerum* — rzekł i dał znak ręką, abym szedł za nim. Korytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo, dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatem przez alkierz do osobnej komnatki i rzekł: Nawarzyłeś piwa, panie Michale i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który, jeżeli się dowie, co łatwo stać się może, żem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopieć do żywego. Przecież opuścić ciebie ani miłość chrześcijańska, ani nasza *koneksya* nie dozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *pod silentium* dalej cię wyprawię.

— Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

Zostawszy sam jeden, poznałem, że to prawda: »*Kiedy trwoga, to do Boga!*« Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się... Ukląknę więc, obróciwszy się ku kościołowi, a spostrzegłszy jeszcze przez zakratowane

okno i krzyż wieżowy, tem gorliwiej modlić się począłem: skończyłem na *sub tuum praesidium*; wstałem, a rzeźwiej mi jakoś i weselej już było. — Wolaż Pana Boga! — pomyślałem, podkręciłem wąsa (ach! ktoby to zgadł, że ostatni raz go podkręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.

Łaska Boska! Ani w Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flasze pełne; a jakie zakąski! Pierniki, pieprzniki, tłuczenie, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatem porządnie, przypomniałem sobie sentencję: *Vinum laetificat cor hominum!* Wypróżniłem więc flaszkę tej recepty i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głową, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor: fatyga i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły. — Wstawaj, panie Michale, — zawołał — czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka i naturalna *suppozycja*, żeś tu za furta. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twej *peregrynacyi*. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem — zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

— To i dobrze, ale cóż tam sobie poczniesz?

— Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, a dworów i panów jeszcze, chwała Bogu, mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dlaczego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— Nie święci garnki lepią. Ależ na co te myśli o *mamonie*? Młody wprawdzie jesteś człowiek, ależ w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzedz... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwała Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy... Ot tylko namyśl się dobrze, a jak poczujesz w sobie *wokacyę*... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej. — No, wybieraj się teraz — rzekł przeor ocierając usta — a to takim sposobem (otworzył skrzynię w kącie stojącą); weź stąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić: znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoją, potem zda ci się ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawiniłeś, więc grabić cię nie może. Ogól wasy — przyniosłem ci brzytwę w kieszeni.

— Jakto? mam ogolić wasy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wåsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze *wokacyi*.

— Nie o to idzie, mój bracie! ale *transfiguracya* twoja potrzebną jest *pro hac sola vice*, abyś bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wåsami gdy cię kto spostrzeże... Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci

wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim żalem przyszło mi się rozstawać z wåsami; ale bo to były wasy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskimi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak nimi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic fata tulerunt!* Więc wypilem duszkiem szklankę wina i... ogoliłem wasy. Aż sam siebie przeląknęłem się, gdy się obaczył w lusterku: goluteńki jak baba! nos mój wyrósł we dwoje, wargą długa jak u starego Niemca, słowem, straszydło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły i właśnie na fantazyę chciałem podkreślić wåsę... Reszta przyborów nie zabrała wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzemiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego: nakoniec księdzowską czapeczką pokryłem głowę; jeszcze raz spojrzełem się w zwierciadełko i pewny byłem, że nie tylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zydlu, ani się poruszyłem; rozważałem moją biedę teraźniejszą: różnicę między kontuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzanym zakonnym, między karabelą a koronką; spojrzałem na moją Elżutkę w kącie stojącą, przepamiętywałem i rejestrowałem w myśli moją chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium* i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojcie Michale! — rzekł on, oglądając mnie

ze świecą od nóg do głowy. — Cóż to waszmości? łzy na oczach? Wstydz się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą, co zechcesz; nie płacz więc, jak dziecko. Oto masz *obedientia in scriptis*, którą okaziesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja, posyłający się z naszego głębokiego klasztoru do klasztoru mińskiego, tak stoi w *obedientii*. A to list odemnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a oddasz mu *in ocluso*. Nakoniec oto masz na drogę — rzekł, kładąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój małeńki zapasik.

— Od przybytku głowa nie boli, a zatem przyjm śmiało. Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tem nie zubożę. — Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy. Więc ja z kąta za Elżutkę... a on mię za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz Jegomość dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię; okryję ją w wozie mantelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna i furman nawet nie zobaczy.

— Oj, bo ta szabelka odwozić cię będzie od pobożniejszych myśli, a ja życzyłbym... Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat*. Nie tracę nadziei... Jedź z Bogiem, a ja jutro odprowadzę mszę na twoją *intencję*.

X.

W Nieświżu.

Miłyż Boże? czym się mógł spodziewać albo pomyśleć przed kilku tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc bernardyńskim? bo jeszcze nie bardzo się przyzwyczaiłem do tego nazwania. Prawdę powiedział wyprawując mię z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor, a mój wujaszek: *Homo proponit, Deus disponit* — i prawdziwie była w tem wszystkim wola Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżej moją ucieczkę i transfigurację na Karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progress ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wasy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis*? bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a zkaż znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościuteńko do Karmelitów. Klasztorzek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął: Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencji taką pipę! Wać i mnie samego zjeść gotów!

Podałem mu *obedientia*, ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy on na kopercie *sol*i, spojrział na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo...

— Nie alteruj się *Reverendissime!* — przerwałem — proszę tylko o lokację na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater* i wyniósł ztamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posił się Wasan po drodze, a ja tymczasem pomyślę. — Jakoż ja i posiliłem się i siedziałem już z pół godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list po kilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czymby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a widać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!* — rzekł on; a postrzegłszy mnie: Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierzając mnie okiem z nóg do głowy — Postura *tanquam* kufa! ot co jest. — A tem lepiej. Przyszedłem prosić Wielebność Waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczeń baranią i na *konsolację*, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebrę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambonę, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycję księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj. *Reverendissime* ten list, wyrozumiesz może lepiej odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — cóż tu niezrozumiałego? — rzekł. — Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abyś oddawcy tego listu, koligatowi jego, Panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskim, że ucieczka i przebranie się Jegomości nie z jego, broń Boże przyczyny, lub jakiego *excesu*, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie spostrzegłem i czytał: »Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc ojcze, *per viam persuasionis... Una salus servire Deo caetera fraudes!... intelligis?... Prudenter age!... et fiat voluntas Dei*¹⁾.

— *Est res, es nulla rest est!* jest rzecz i nie ma rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż Jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębokiem, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się, zbawionym.

¹⁾ Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność rozumiesz?... Czyń mądrze!... i niech się dzieje wola Boża.

— Prawda! najprawdziwsza prawda! *bene dixisti*. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem Bernardynem; bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot to jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennej mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, *pokorę*, która jak wiecie, niebiosą przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis, computandis*, na czymże staje? — i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej: ja dam radę najlepszą. W twoim, księże przeorze klasztoru, może być panu exmarszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto tecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto pomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem od podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatuleńku, czekam jutro na dziewiątą do zakrystyi. *Vale*.

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał mi się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się odrazu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wysmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata *kanaparza*: jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej pierwszej próbie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakego *ad interim* przełożęństwa, nad zamóżną klasztorną *dyspensą* i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobrali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadło mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga; bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej pierwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.

— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potem każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanaparzem względem obiadu, który, że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż

dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie w każdej celi, *post requiem*, albo odwiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kręgle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszek na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po kurytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tem ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moją, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kon-tusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie, jeden bogaty złoty w karpia łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinałem na stole, *et id genus* wszystko, co się w kuferku znalazło, gdy wszedł do mnie ks. kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor głębocki, — a w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, żem nie z pod płota wylaźl.

— Ot to byłyby piękna kapa na *asperges* — mówił on, gładząc pas mój lity — z żupanów gredyturowych i atlasowych ornaty; z kentuszków, *antepedia*, a z właściela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale? — przerwał. — Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą nie ma żadnego ale! Cóż w tem złego? Djabeł na świecie tańczy koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza. Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze; ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod *obedientia*! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod *obedientia*. Ot co jest!

— Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki; gdzież mi już rozpoczynać na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tego, a dla ochoty do teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *miserere* i *discipline*, mógłbyś od razu zostać *Jubilatem*, zwłaszcza, że i po łacinie umiesz. Ot co jest! Ale twój *animusz* nie do tego; więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób professyą na braciszka *sine missa*, zostań z nami Bernardynami. Boga chwał, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

„Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkiem milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek; z temi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojnem zakonnem życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował; bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrywał siebie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych *obligacyi* na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swej woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencję nieszpory, wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest! Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upór na upór, ale najgorsze w życiu ludzkim *jak chcesz!* I tak *dobrze*, i tak *dobrze*; albo i tak *źle*, i tak *źle*... A Bóg wie tylko co *lepiej*, a co *gorzej*. Więc czekałem już niecierpliwie niesporów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywałem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę:

Kto chce Pannie Maryi służyć.

A Jej osobliwym miłośnikiem być...

i tak dalej. Jakoż po tej modlitwie, podniosłem z ziemi

zapłakane oczy do obrazu tej Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił: Będę Tobie i Twojemu Najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moją; oddal odemnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i ślubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski...

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele, i nie postrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z chóru i ja sam jeden zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migiała przed ołtarzem... gdy w tem usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfesyjale i czekał na mnie

— Zgaduję, bracie — rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląknę. Przeżegnał mię, uściśnął za głowę, ukląknął potem obok; zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystę na klasztorne kurytarze.

Dopałem spiesznym krokiem mojej celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejaką pociechą, moje suknie i pasy do kuferka — to, ojczy! — rzekłem — zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie! — odpowiedział *pater* — zaniemiemy obadwa kuferek ten do zakrysty; bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara Twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

Dictum factum. Kuferek został w zakrysty, a ja, pożegnawszy księdza przeora, udałem się na spoczynek,

i bez żadnych żalów lub *molestacji*, najspokojniej zasnąłem.

XI.

Nazajutrz.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *serbitor*. — Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit... wtem zastukał do celi ksiądz kustosz idący na mszę; bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet spieszyłem za nim słuchać jego mszy, albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrystyi, rzekł do mnie: A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa! — rzekłem, bo przy ofiarowaniu Mszy świętej, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycję odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!* — odpowiedziałem — idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i Jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię. Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wasy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był

na sercu... ale to krótko, bo poznałem w tej pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się i złoto z głowy znikło; a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdjął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale *obedientia* dzwoni.

— Oto jest — rzekł kustosz — nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej *wokacyi*, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatem, bracia mili i przyjmujmy go *apertis manibus*: bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą *professę*.

— A potem — odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor — przejść powinien na *probanta* i *servitora*.

— A czy waści — odpowiedział kustosz — uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim *serwitorze*? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornem sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złotolite materyalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: znaczy, że się wyrzekł szczerze marności światowych. *Servitorów*, *definitorów* mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych za mało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale! — mówił dalej kustosz — zdaję waszeci zupełnie naszą *dyspensę*, sklep i kuchnię; dodaję

jako i dotąd w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną *benevolentią*, i rzekłem: Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik — i podałem kieskę z kilkunastu talarami; excypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszej Panny.

— *Iterum, iterumque gaudeo!* — rzekł, ściskając mnie za głowę — z tak pobożnej twej intencji; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz, i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tem bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*. Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot, co jest! A cóż zrobim z szabelką? — zapytał jeszcze, uśmiechając się.

— Odeszłę ją przy okazji memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on *Harasima*, niechże go ożeni z moją *Elżutką*.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nieświża na kapitułę. Nie powstydzilem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed *patrami*, warte było ich

gęby. Nie traktowałem ja ich żadnymi pańskimi frykasami, ale hultajski bigos, rosół z indyka, zrazy zawijane, pieczeń huzarska — a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, śliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do *kontencyi* zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie? — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i *expერიენცი*, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem śledziami nadzianym — *gratias ago!* — rzekł on, spojrzawszy na mnie i zmierzwszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawia *ex ordine* pojedynczo przed nim dla egzaminu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. *Kwestya pierwsza*: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze? — Nie. — *Kwestya druga*: Czy nie widzę jakiego zgorszenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. — *Kwestya trzecia*: Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to odpowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególnie jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate* na karmelitę, i *tandem* zapomocą Bożą na bernardyna.

Upodobał jako niekzemną personę moję ojciec nasz. Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz ku-

stosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcji. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będziesz waszeć i tam w Nieświżu urządzał *sumptem* naszym, a potem obierzesz sobie rezydencją gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałbym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pomiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w *Nieświżu*, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spaslami końmi, a wyładowaną zapasami podróźnemi *omnis generis* i specyałami z klasztoru sióstr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanemi, oraz puzdrem pełnem, od którego klucze pod moją są *kustodyą*.

XII.

Kapituła.

Wielki, ba największy pan w całej Litwie jest książę Karol Radziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególnie naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierwej więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyanie udali się do zamku dla

homagium księciu jegomości, i z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie *patrów*, i oświadczył wazjemnie, że, jako syndyk, a zatem gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmnych i wszelakich do spiżarni nawieziono zapasów, toż siana i obroków do śpichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczać obiecano.

Nazajutrz, po solennem nabożeństwie, zbierali się ojcowie do refektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną asystencją swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, ordery i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Burzyńskiego starosty, gdzie wprzód zostawał, wiele się nasłuchiwałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawieszisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzrokiem, to aż dreszcz człeka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo tej swojej powierzchowności, jest to najwspanialszy i najlepszy serca pan. Często tylko krotochwilny i szumny, ma przysłowie *panie kochanku!* i gdy go pytają: który Radziwiłł? odpowiadają zwyczajnie: książę *panie kochanku*, a to znaczy *ordynat Nieświżski*.

Otóż gdy wszedł książę do refektarza, powstali ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a ksiądz

prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją *prezencyą*, zapraszając go owszem do prezydencyi w tem *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii mówił), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Książę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę *reco-gnicyą* waszego affektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązкови.

Po tej ceremonii wyszedł książę, a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sesjach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, skąd jemu ta fantazyja? wymawiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sesjach przejdzie mu ochota i uwolni ich od subiekcyi ulegania jego *preponderencyi*.

I prawda... uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subiekcyi, bo zakończył kapitułę w dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, książę, nie czekając na *vota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waść, Panie-kochanku! — rzekł naprzód do mego księdza kustosa mińskiego — będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem, bo terazniejszy ksiądz Humilian już postarzał i ociężał, na nie mi nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu

nie poszedł, a waść kiedy tu przed kilku laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza książęca mość mylisz się zapewne, bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czem mogłem rozkazów księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a nawet na mojem życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co? Panie-kochanku! nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myśliwstwo przyświadczy! Otóż waść będziesz znowu gwardyanem w *Nieświżu*, waść w *Buckławiu*, waść w *Wilnie* kustoszem; waść do *Citowian*, a waść do *Bienicy*... i tak dalej, jak z rejestru.

Więc Ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak liberalnie do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał ze swojego krzesła, uklonił się wszystkim niziutko. — *Mea culpa*, Panie-kochanku, *mea culpa*! — zawołał i wyszedł pokorniechno z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na kurytarz się dostał, pokazał co umiał: Zabrał wszystkie klucze odemnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspensie, przy *świrnach* i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powyracać, a sam powrócił do zamku, zabrawszy z sobą podsyndyczego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomięszwały się sejmiki kapitulne, o obiedzie ani pomyśleć, słowem, nie było innej rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodowej śmierci. Prowincyał zatem z dwoma *patrami* udali się na zamek z demonstracyą, ja za nimi niby dla asystencyi, a prawdę

mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Książę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, Panie-kochanku, czynicie zadużę swojej regule i przysiedze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, Panie-kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule, a waszeć o tem wszystkim ani dudu. Za nic macie ustanowionego przezemnie podsyndycznego, radzicie sobie jak infulaty, Panie-kochanku, a on, mój namiestnik; z czapką pod pachą stać przed waszeciami musi. Książdz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy klasztornej, a przecież, Panie-kochanku, bernardyn ani grosza mieć nie powinien, ani znać nawet stępla pieniężnego, a waszeć w obłężeniu *tamquam* trzymacie mojego kasjera, gdy przyjdzie termin wypłaty *provizji*. Odtąd Panie-kochanku, wydawać będę codziennie dla waszeciów ze spiżarni klasztornej obiad i wieczerzę; do mnie waszeć na *porcy* i *konsolacy* przychodzić macie, a skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie *kustodyą*. Ojciec gwardyan niech pilnuje chóru i dalszych *officyów*, a do rządów klasztornych ani nosa, Panie-kochanku!

— Ależ, mości książę dobrodzieju! — przemówił prowincyał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, Panie-kochanku! słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku i jeszcze jedną *penitencyą* odbyć musicie. A potem, Panie-kochanku, zasiadziecie tu na *conclave*, a ja sam klasztorem urządzić będę.

Powróciliśmy zatem do klasztoru. Tam *ex consilio*

wypadło uleść woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiej obiecaney *penitencyi*, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowej przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to już po drugiej *penitencyi*, pozwoli nam książę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak nazwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stół od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmisków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia *serwitory*. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Książę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu, pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a ze dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich książę zapoi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić wzbraniał się: Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie *obedientia*, Panie-kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otóż to druga pokuta, Panie-kochanku! — wstając od stołu, przemówił książę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić ni-

komu nie дозвоło, aż póki sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycyi księcia.

Obiady szły, jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwa antały stanęły na stole. Znowu *penitentia* i *obedientia*. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książę, powstając:

— Kapituła skończona! *Solwuję sesyę* na lat trzy, i na drugą do *Nieświża* zapraszam, a tymczasem módlcie się waszeć za moją duszę, jakoś mi to przyrzekł, księżę prowincyale, Panie-kochanku!

XIII.

Instrukcja na kwestę i na odjazd z klasztoru.

Gdy tak książę syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, my z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich *officyów* klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zwołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obediencyę*, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w Imię Boże! Ot co jest.

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz *mores*, obrał cię do tej posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tem życzliwość dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obli-gowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa — *obedientia*! Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojczel! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczem?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził, kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! A mówiąc prawdę, i teraz jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą*, ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

A to mi *pater periculosus*! — pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwytac baranów nie będę; ile dadzą, tyle nabieram.

— *Racya*! Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. *Est modus in rebus*,

jak to ludzie powiadają. Są ludzie, i takich chwała Bogu więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzają; tacy przyjmą cię serdecznie, ucęstują suto i zatrzymają na noc, dla pocziwej i dobrodusznej gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprawić, od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

Ale są jeszcze inni, a to najczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otoż w tem sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarciem, wesołą dykteryjką, delikatnem przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydbi im było. Potrzeba panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędkę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku na przynętę *koncept* uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tem miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest! *Intelligis? Zresztą usus te plura docebit.*

Wychodziłem zatem gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a tembardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej *bernardynki*. Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będiesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi i żeźwi*. Spróbuj waszeć. — Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan — A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre mówisz waść zawsze: *Panie Dobrodzieju! Mości Dobrodzieju!* a u nas niema ani *Mości*, ani *Panów*; wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje*. Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwestaby ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak *Zabłocki na mydle*. Tak, bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerłość, prostota i pokora nie będą już trafiać do sere, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!..... Daj Boże tego nie dożyć!

— A zkądże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwaląc się *Doktorem ś. Teologii*, której byłem lat kilka professorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas niemały. Znam ja i rozważałem z kąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem i francuzczyznę, bodajby jej u nas nigdy nie było!... w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tem myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w arcaby i w maryasza.

Masz starego klasztorного furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy odwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry*, i psa wiernego na stróża twojej przyszłej trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat*. Ot co jest.

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatem, wysłuchawszy rano mszy świętej i wzięwszy benedykę kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eliasza i Barabasz, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za niemi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiej, siwą i tro-

chę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował »*Zawitaj ranna jutrzeńko!*« ja mu zawtórowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.

XIV.

Legendy starego Marcina. Pan rotmistrz.

— Gdzież pojedziem? Marcinie! — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź, jak znasz lepiej.

— Już to, mój Jegomość, do bliskich tu dworów niema po co zajeżdżać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, p. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, stąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo pocziwiał ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zamawiać i zwierzynę na swój cel ściągać, ale to nieprawda, bodaj im takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole i wie, kiedy na jakiego zwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego rejestru u sławnego

pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku. Potem książę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił się zatem, już ma synów jak dębów i córeczkę jak jagodę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże, do wieku każdemu pocziwemu.

— Dobrze, jedźmy — rzekłem — do p. Bielewicza.

Wlekleśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki i potrząsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary, ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit, przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać uprząkzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie!

— A to Jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapucyni podobno nie nie gadają. Może Jegomości zdaje się, że gadać z furmanem, to na godność Jegomo-

ściną nie przystało; ale ja i prowincyałów woził, a brat za brat ze mną dyszkuirowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkuirował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz, a do tego jedziem pojedynczo, więc trudny rozhovor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i na-przód i w tył, a kieruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siadę z Jegomościem, i będzie nam obydwom weselej, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko — rzekł, złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z pode mnie puzderko, o którym nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. — Eliaszy i Barabasz przyszli także po swoją porcję: w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną: *Hej, dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powlókł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo niezna-
jome miasteczko?

— To *Mir*. A wiesz Jegomość, jaki tam jest
dzwon?

— Nie wiem.

— Otóż ja Jegomości powiem, bo o wszystkim
i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził
się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię po-
słuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otóż o tym dzwo-
nie jest taka *dykteryjka*:

Nasz książę Panie kochanku jeździł dawniej po cu-
dzych krajach i wojował z poganami: sam to często
opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpie-
czno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim
ujść pewnej zguby. Otóż ślubował wtenczas kościołowi
mirskiemu taki dzwon, aby gdy w *Mirze* na rezurekcyę
zadzwoń, w *Nieświżu* słyhać było; a to cztery mile,
mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz
lać dzwon w *Mirze*; wylali jeden, dzwonią na próbę —
nie słyhać w *Nieświżu*; Panie-kochanku dodaje złota
i srebra do materyału, każe wylewać drugi, większy;
znowu leją i znowu dzwonią cały dzień! — nie słyhać!
a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc
dzwon trzeci...

Tymczasem jednego wieczora, Panie-kochanku w do-
brym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi
i łągał, na czym świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj.
At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi
cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak prze-
brał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który
był pierwaj koniuszym u księcia, kiedy ja byłem maszta-

lerzem, a potem on wyszedł na pana, a ja na furmana,
i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc: Mości
książę! dzwon mirski słyhać! — Wszyscy nadstawili
uszu, ale nikt nie słyszał. Książę tylko potakiwał panu
Chodźce i mówił: A widzicie waszeć, jaki głośny mój
dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie
ma być głośnym — podchwycił Chodźko — kiedy książę
pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pa-
miątkę?

— Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie
dzwony leją, trzeba łągać różne nowiny; gdyby daleko
się rozchodziły, to i głos dzwonów tak rozchodzić się
będzie.

Książę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się
powiedział do Chodźki: Wasan sam taki, Panie-kochan-
ku! — ale już dzwonu nie przelewał; owszem, ochrzčili
go Karolem, zawiesili na dzwonnicy i książę zawsze po-
wiada: *Słyhać Karola w Nieświżu!* — A kiedy kto za-
przeczy, to on mówi: Co ja winien, Panie-kochanku, że
waś nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko?
a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imię Karol,
a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słyhać Karola
w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych
złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski,
szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich wi-
dział i woził. Szczero złote były, mój Jegomość! a wiel-
kie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej, czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książę, wybie-
rając się na wojnę z poganami do cudzych krajów,

wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierwej do Gdańska, a potem gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy... A hej! dropiaty! na prawo! a hej!

Wjechaliśmy krętą dróżką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już niema, czy namysławiając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć z daleka.

— Kogoś spotykamy — rzekł Marcin. — Może da Bóg dobry początek.

Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły wi-
dać do zakonnej pokory, zszedł z drogi, — ile gęst-
wina dozwalała, — a Pamfil pobiegł naprzód i ujadać
zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny Jegomość, suto
i buńczucznie ubrany, w taratatie gęsto taśmami złotemi
szamerowanej, z zawieszistą szlifą na jednym ramieniu,
z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na
pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem
więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał luzak po ułańsku z chorągiewką,
a za ułanem wóz czterema tęgimi końmi zaprzężony, na
którym jeszcze jeden *sługus* i przy furmanie kozaczek
z bandurą; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa
konie podwodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wą-
sikiem, którego pogładziwszy wdzięcznie, spojrzał na mnie
wspaniale, i założył za pendent książeczkę, którą w rękę
trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny... Dobrodzieju --
przypomniałem w samem zaczęciu naukę księdza gwar-
dyana.

— Stój! — krzyknął on na swój obóz, z którym
nam trudno się było rozminąć, więc i ja się zatrzy-
małem.

— A czy jest książę w zamku?

— Niema — odpowiedziałem — wyjechał niedawno
do Białej ¹⁾.

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *ho-
magium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz
baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

— Aleś młody na kwestarza. To jakaś zapewne
awantura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa
wokacya.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdro-
wiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w sze-
regu, jak w habicie i na kałamaszce. Wiesz co? porzuć
to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet i jeżeliś
szlachcie, zrobię cię towarzyszem w pińskiej brygadzie,
w mojej chorągwi, której jestem rotmistrzem. Co waś
na to?

Rozgniewałem się na ten niespodziany werbunek.

¹⁾ Hrabstwo bialskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie
bialostockim.

— Jestem szlachcie — rzekłem — równy każdemu. A cóżbyś pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas* i przypomniawszy na pieśń świętego Łazarza, a na koniec nędzny bogacza, który »*pychę w sercu swem chował*«, oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę? — Bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do *Nieświża*.

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencję z mojego raptularza.

— Oho! — odpowiedział rotmistrz — to za mądrze na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

— A jużci kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycje nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj — rzekł pan rotmistrz, zsiadając z konia, — nie rozstawajmy się w tak złych dyspozycjach: bo ani mnie dziś w podróży, ani waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dlatego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska! — rzekłem.

Dobyło więc nie żołnierskie, ale pańskie specjały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie; tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował. — Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwej wokacyi wstąpił do Bernardynów. — A gdy Marcin z innej flaszki skosztowawszy staruszeki, pokręcił głową i rzekł do mnie: To nie nasza podróżna, mój Jegomość!

— A macieź puzderko? — zapytał panisko.

— Mamy, JWpanie! — odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać — rzekł rotmistrz — flasz parę starej, a flaszkę gdańskiej kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistej i pękatej kieski wydobyte — weź na pamiątkę rotmistrza pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, ściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. — On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoją siadał kałamaszkę, spostrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za pendentu rotmistrza; podjąłem: o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: »*Żołnierskie nabożeństwo*«¹⁾.

O zacny! o pocziwy! o bogobojny rycerzu! pomyślałem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka, jak *Dawida*, niech wali *Goliatów*! Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam niema ani Boga, ni wiary; otóż dowód oczywisty, że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce, a prze-

¹⁾ Książeczka ta do nabożeństwa dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

cież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Ksiądz gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcej sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy samej.

Wtem ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? — Oddałem więc ona, wprzód pocałowawszy pobożnie i rzekłem: Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi Bernardyn kwestarz — nie tylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskim jego ciele pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie wielmożny rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny pan! niema co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieniców, bo worek dyabelnie pękaty; ale teraz ludzie skąpieją.

— A milczże do licha, — rzekłem — czyż jeszcze mało? Wszakże nawet o tobie nie zapomniał i upodobanej wódki starej parę flasz nalać kazał.

— Oj, bo ja nie głupi; ja za jedną gdańskiej wyprosiłem jeszcze dwie starej u tego, który szafuje dobrem pańskim; a zatem mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszeki.

— To źle, panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek a dobrej wódki, niżeli dwa a lada-jakiej, bo upijać się nie lubię.

— To nie po bernardyńsku, mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wie o tem i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! *dropiaty!*

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a w tem wyjechaliśmy na pole, na którym domostwo pana Bielewicza ujrzeliśmy.



OBJAŚNIENIA

DO CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Str. Wiersz

- 21 6: *do poezymy inclusive*. Szkoły dawne, mianowicie jezuickie, dzieliły się na klasy, zwane od głównych przedmiotów, jakie w nich układano; była więc: gramatyka, syntaxis (składnia), poetyka, retoryka, filozofia i teologia, a prócz tego klasa wstępna, zwana najniższą: *infima*.
- 21 11: *currente calamo* = biegle, bez patrzenia na wzór.
- 22 22: *per abbreviationem* = skróconym sposobem.
- 22 27: *frekwentował* = uczęszczał.
- 23 6: *parentela* = powinowactwo.
- 23 10: *addytament* = dodatek.
- 23 14: *potens* = potężny.
- 23 16: *postpozycya* = lekceważenie.
- 24 2, 3: *non tam libenter, quam reverenter* = nie tyle z ochoty, ile z uszanowania.
- 24 7: *ad continuationem* = w dalszym ciągu.

Str. Wiersz

- 24 15: *cyrkumstancye* = okoliczności; *eventa* = zdarzenia.
- 24 21: *per extensum* = w całej osnowie.
- 24 23: *in publico* = publicznie, w sprawach publicznych.
- 25 3: *adornowany* = przyozdobiony, wśród ozdób odmalowany.
- 25 24: *summa facit* = razem, w sumie.
- 25 25: *demestyka* = arkusz.
- 25 26: *w rekompensę* = w nagrodę.
- 26 2: *w echcie* = prawdziwego.
- 26 21, 22: *pro et contra* = za i przeciw.
- 26 29: *liszna* = zbyteczna, niepotrzebna.
- 27 6, 7: *sibi soli* = dla siebie samego.
- 28 3: *laus tibi Christe* = chwała Ci, Chryste.
- 29 16: *rychteyt* = richtet euch = formujcie się, do szeregu.
- 30 6: *quam maxime* = jak najbardziej.
- 30 30: *gredyturowych*, właściwie: grodeturowych (*gros de Tours*), jedwabnych.
- 31 15: *reassumpcyą* sejmiku nazywało się pierwsze jego uroczyste zebranie się.
- 31 20, 21: *submisya* = złożenie uszanowania.
- 31 22, 23: *preeminencya* = przodkowanie.
- 31 25: *ad unanimitem* = do jednomyślności.
- 32 7: *exwisceracye* = wywnętrzenia się.
- 32 19: *sajetowy werdragonowy* = materyalny zielonkowatego koloru.
- 33 17: *tandem* = tedy, w końcu.
- 33 24: *insperate* = niespodzianie.

- Str. Wiersz
- 34 3: *stallum* znaczy właściwie krzesło; tu bierze się w znaczeniu stanowiska.
- 35 9: *skorumpować* = przekupić, na swoją stronę przeciagnąć.
- 35 10: *medyator* = pośrednik.
- 35 15: *derpski* = dorpacki.
- 35 20: *aggravować* = potępiać.
- 35 24: *semotis arbitris* = bez świadków.
- 36 2: *in circuitu* = w obrębie.
- 36 3: *akcja* = sprawa sądowa.
- 36 16: *gravamen* = obrazę.
- 36 18: *nego activitatem* = zaprzeczam prawa brania czynnego udziału.
- 37 20: *summo mane* = bardzo rano.
- 39 10: *recepta*, pierwotnie wyraz ten był używany, zgodnie z pochodzeniem łacińskim, w liczbie mnogiej, obecnie już forma *recepta* stała się rzeczownikiem rodzaju żeńskiego.
- 39 19: *quantitas* = mnóstwo.
- 39 25: *misy rantowe* = półmiski; *oładki* = rodzaj pasztecików.
- 40 3: *in casu necessitatis* = w razie konieczności.
- 40 9: *volens nolens* = chcąc nie chcąc.
- 40 17,18: *propter utilitatem publicam* = dla użytku ogólnego.
- 40 20: *lautissime* = bardzo obficie.
- 42 8: *expostulacje* = przeprosiny.
- 43 15: *mały paczek* = mała paczka.
- 43 18: *vulnerarium* = lekarstwo na ranę.
- 43 30: *mea culpa... mea maxima culpa* = moja wina... moja wielka wina.

- Str. Wiersz
- 46 1: *consilium bellicum* = rada wojenna.
- 46 4: *periculum* = niebezpieczeństwo.
- 46 19: *oppressive* = przemocą.
- 46 20: *plenissime* = najzupełniej.
- 47 16: *in ordine* = w zakonie.
- 47 17: *crematum* = gorzałka, wódka.
- 47 22: *okolica* znaczy tu zaścianek szlachecki.
- 47 25: *dictum — factum* = co powiedziano, to zrobiono.
- 48 11: *magnificenter* = wspaniale.
- 48 18: *sudanny* = chudy.
- 48 27: *circiter* = około.
- 49 3: *de nomine et cognomine* = z nazwiska i przydomku.
- 49 24: *obstupuerunt* = osłupieli.
- 51 5: *stemus simul* = stójmy razem.
- 51 12: *materya status* = rzecz dotycząca państwa, a więc zasadnicza, główna.
- 51 20: *jure victus* = przekonany sądownie.
- 51 23: *ex nunc solita praxi* = natychmiast według pospolitego zwyczaju.
- 52 16: *spectaculum* = widowisko.
- 52 29: *ex abrupto* = bez przygotowania.
- 53 5: *cum laudo circa securitatem publicam* = z uchwałą co do bezpieczeństwa powszechnego.
- 53 8: *laudum* = uchwała.
- 53 19: *in tractu* = w ciągu, w czasie trwania.
- 53 20: *tanquam contumax* = jako wichrzyciel.
- 54 4: *de radice* = z pochodzenia.
- 54 25: *ambijenci* = kandydaci ubiegający się o urząd.
- 55 11: *ut sequitur* = jak następuje.

Str. Wiersz

- 55 12: *copiatim* = co do słowa.
 55 31: *salvo respectu* = z całą czcią.
 56 1: *in praejudicium* = ku naruszeniu.
 56 4: *civis et servus* = obywatel i sługa.
 56 5: *ausus sum* = ośmieliłem się.
 57 5: *ex opposito* = przeciwnicy.
 57 6: *pluralitas* = większość.
 57 21: *quo jure* = jakim prawem.
 59 13: *sumpt spendować* = koszta łożyć.
 60 19: *a festis* = w święta.
 61 10: *merita* = zasługi.
 61 14: *princeps nobilitatis* = pierwszy wśród szlachty.
 62 6: *quod jure, juste* = co słuszne i sprawiedliwe.
 65 3: *wykocić* = wytoczyć.
 66 8: *periculum in mora* = niebezpieczeństwo w zwłoce.
 68 1: *locum tenens* = zastępca.
 68 21: *in connubio* = w małżeństwie.
 69 19,20: *przewertować* = przetłómaczyć.
 71 26,27: *supponitur* = domysła się; *animal est* = jest zwierzęciem.
 73 8: *strictissime* = nader ściśle.
 73 12: *praeter propter* = mniej więcej.
 73 26: *contraria* = sprzeczności.
 75 8: *ex libro doctus, ex capite stultus* = mądry z książki, głupi z głowy.
 76 29: *Libityna* wzięta tu została w znaczeniu śmierci.
 77 9: *Zoil*, osławiony krytyk Homera, bierze się wogóle w znaczeniu krytyka złośliwego, a nierozumnego.
 77 14: *acuminose* = dowcipnie.

Str. Wiersz

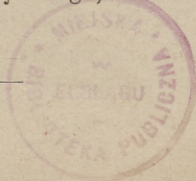
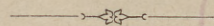
- 78 17: *fulminować* = piorunować.
 78 19: *bene natus* = dobrze urodzony.
 79 23: *kulkiem z góry* = koziołkiem.
 80 9: *facies rerum* = postać rzeczy.
 80 20: *silentium* = czas milczenia w klasztorze, kiedy niewolno mówić.
 81 2: *Sub tuum praesidium* = pod twoją obronę.
 81 11: *Vinum laetificat cor hominum* = wino rozwesela serce ludzkie.
 82 14: *wokacyi* = powołania.
 82 29: *transfiguracya* = przemiana.
 82 30: *pro hac sola vice* = na ten jeden raz.
 83 10: *Sic fata tulerunt* = tak losy chciały.
 84 5: *obedientiā in scriptis* = zalecenie piśmienne.
 84 11: *in ocluso* = w tajemnicy.
 84 27,28: *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat* = człowiek robi zamiary, Pan Bóg rozstrzyga, a niech cię Bóg błogosławi.
 85 9,10: *digitus Dei* = palec boży.
 85 16: *finis* = koniec.
 85 23: *pipe* = beczkę.
 86 2: *solī* = samemu tylko.
 86 19: *Salve! Reverendissime! salve!* = Witaj! Przewielebny! witaj!
 86 22: *tanquam* = niby.
 87 13: *in summo gradu* = w najwyższym stopniu.
 87 17: *verte* = przewróć.
 88 1: *bene dixisti* = dobrze powiedziałeś.
 88 4: *sine dubio* = bez wątpienia.
 88 12: *computatis, computandis* = zważywszy, co zważyć należy.

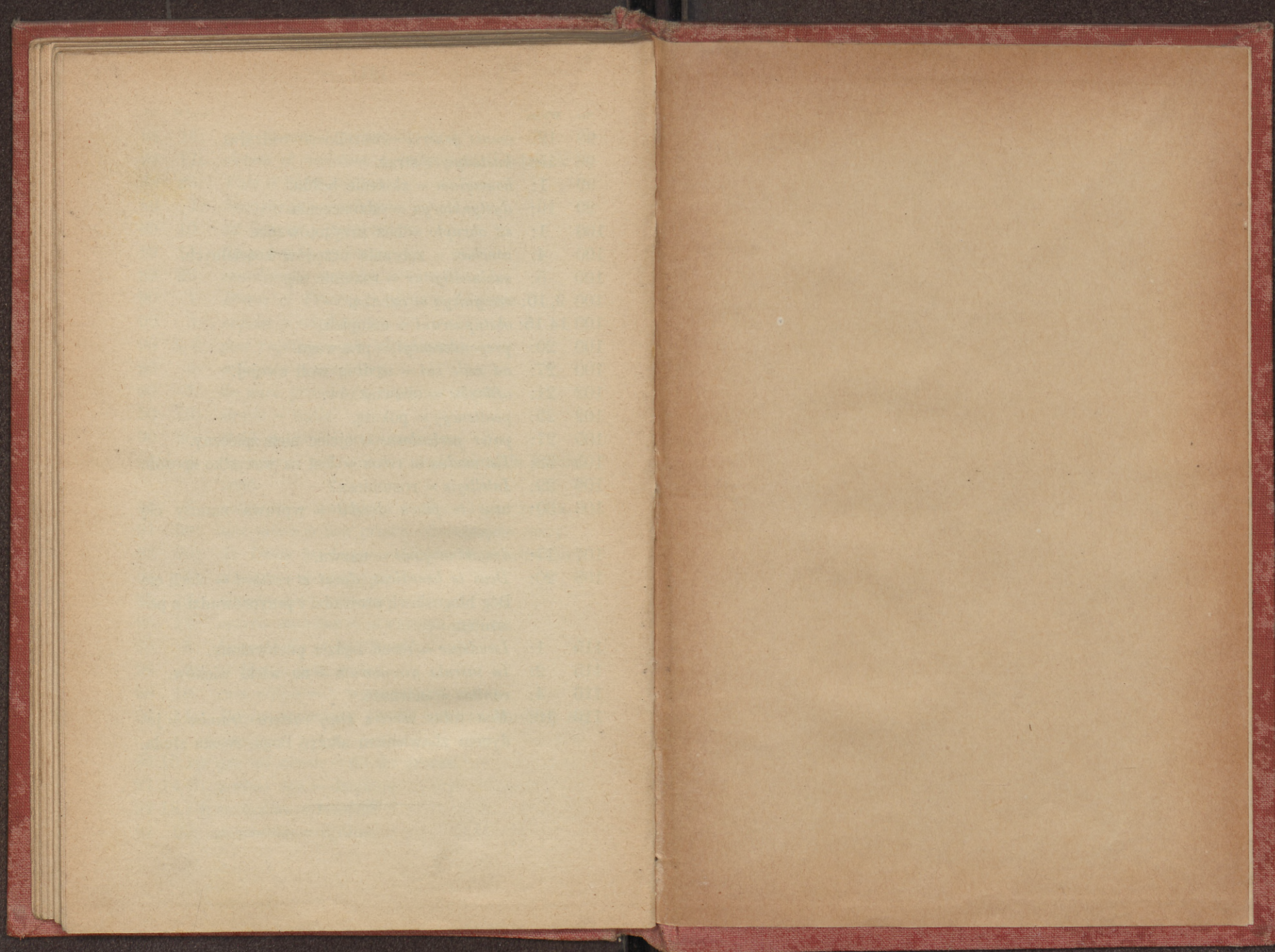
Str. Wiersz

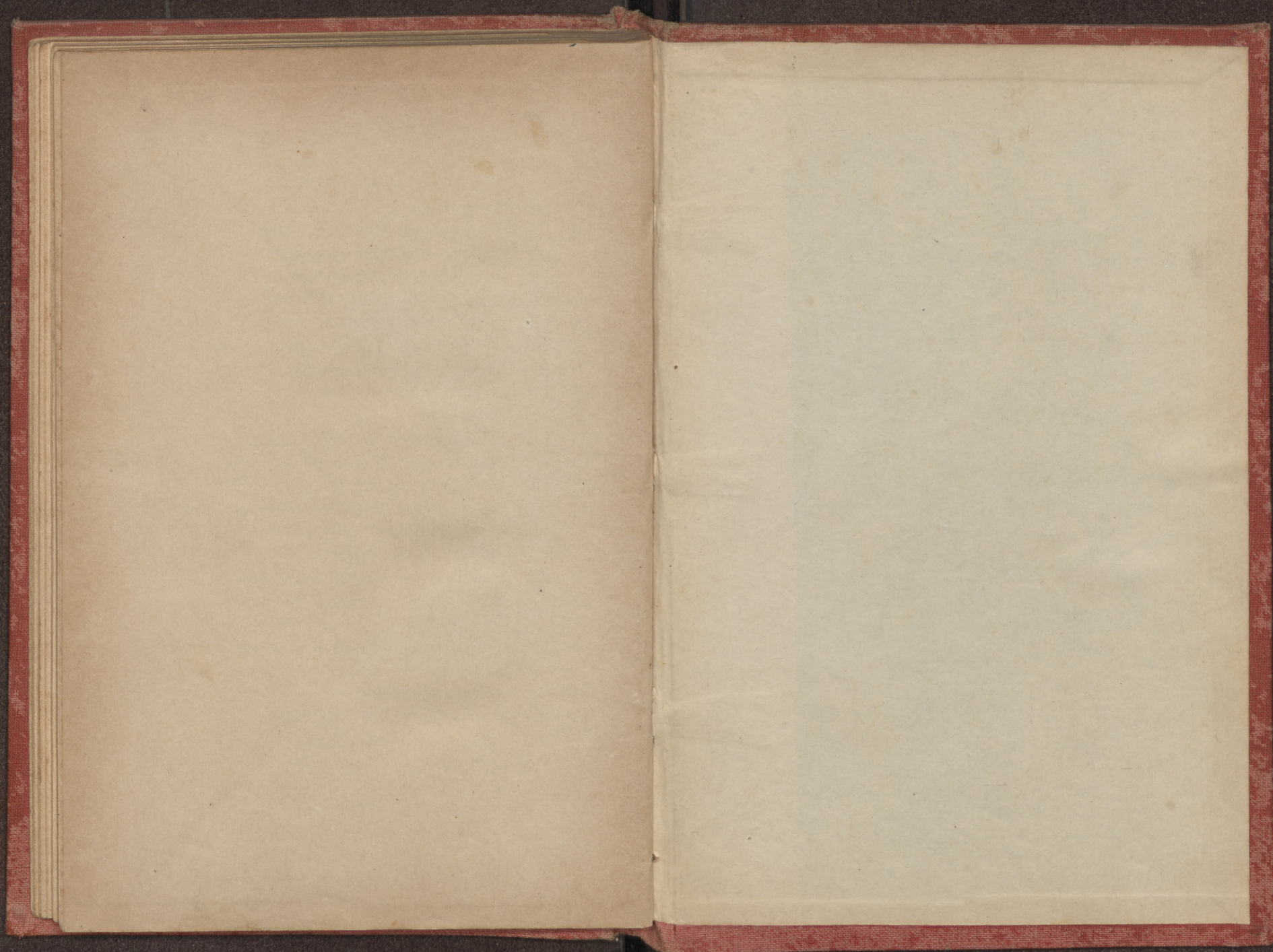
- 88 16: *peto mecum* = proszę ze mną.
 88 17: *victum et amictum* = pożywienie i odzienie.
 88 23: *Vale* = bądź zdrow.
 89 7: *kanaparza* = szafarza.
 89 10: *ad interim* = tymczasem.
 89 11: *dyspensą* = spiżarnią.
 89 29: *consilium* = narada.
 90 1: *Patres et Fratres* = ojcowie i bracia.
 90 3: *requies* = odpoczynek.
 90 3, 4: *post requiem* = po odpoczynku.
 90 4: *colloquia* = rozmowy.
 90 7: *de puro grano* = z czystego ziarna.
 90 13: *stricte* = ściśle.
 90 26: *et id genus* = i tego rodzaju.
 91 4: *asperges* = pokropienie, część obrzędu kościelnego.
 91 6: *antepedia* = zwisająca z ołtarza przykrycia.
 91 30: *sine missa* = bez prawa odprawiania mszy.
 93 20: *Te Deum laudamus* = Ciebie Boga chwalimy.
 94 5: *servitor* = posługujący.
 95 13: *Gaudeamus* = cieszymy się.
 95 14: *apertis manibus* = otwartymi rękami.
 96 6: *benevolentia* = życzliwość.
 96 9: *si licet* = jeśli wolno.
 96 10: *cum effigie* = z wizerunkiem.
 96 11: *Iterum, iterumque gaudio* = coraz bardziej się cieszę.
 96 15, 16: *quo ad assem* = co do grosza.
 97 14, 15: *gratias ago* = dziękuję.
 97 18, 19: *ex ordine* = kolejno.
 97 27: *summatim* = ogólnie.

Str. Wiersz

- 98 12: *omnis generis* = wszelkiego rodzaju.
 98 15: *kustodyą* = straż.
 99 1: *homagium* = złożenie hołdu.
 99 16: *dystynktorya* = odznaczenia.
 100 1: *ex abrupto* = bez przygotowania.
 100 4: *conclave* = zebrania urzędów kościelnych.
 100 5: *subintelligitur* = rozumie się.
 100 9, 10: *recognicyą* = oznaką.
 100 14, 15: *obstupuerunt* = osłupieli.
 100 20: *preponderencyi* = przewaga.
 100 27: *ad velle sui* = według woli swojej.
 102 21: *officyów* = obowiązków.
 102 29: *penitencyę* = pokutę.
 105 27: *pater periculosus* = ojciec niebezpieczny.
 105 32: *Est modus in rebus* = Jest na wszystko sposób.
 106 29: *Intelligis* = rozumiesz?
 106 30: *usus te plura docebit* = wprawa nauczy cię więcej.
 107 17: *denominacyami* = nazwa.
 108 20: *Deus te benedicat, ducat et reducat* = niech cię Bóg błogosławi, prowadzi i przyprowadzi z powrotem.
 115 1: *Laudetur* = niech będzie pochwalony.
 115 2: *In saecula saeculorum* = na wieki wieków.
 116 4: *vanitas* = marność.
 116 10: *Una salus servire Deo, caetera fraudes* = jedynym zbawieniem służyć Bogu, reszta złuda.









ELBLĄG

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

7267

/1

Biblioteka Elbląska

L-7267



103-007267-00-0